

Barbara Cartland

Gdy całuje nieznajomy

## Od Autorki

Za tło powieści posłużyły wydarzenia historyczne, przy czym główną pomoc stanowiła książka sir Arthura Bryanta pt. „The Years of Victory” („Lata zwycięstwa”).

Szpiedzy Bonapartego znajdowali się wszędzie, zatem Napoleon wiedział o „Tajnej Ekspedycji”. Nie wiedział tylko, dokąd ją skierowano.

Dzięki swojej niezwyklej przenikliwości Nelson podążył na zachód, w ślad za francuską flotą. Był to strzał w ciemno. Powiedział nawet do swojego sekretarza: „Niech mnie licho porwie, jeżeli nie płyną na Indie Zachodnie! Albo będą palić moje podobizny, albo pokochają mnie w opactwie westminsterskim”.

Nie pomylił się i wygrał bitwę o Trafalgar, w której został śmiertelnie ranny. Umierając powiedział: „Dzięki Bogu wypełniłem swój obowiązek”.

Następnie jego duch rozstał się z ciałem łącząc się z Anglią i morzem.

## Rozdział 1

1805

Spacerując po lesie Shenda nuciała pod nosem melodię, której, jak twierdziła, nauczyły ją drzewa.

Było ciepło jak na kwiecień. Drzewa miały dopiero paki, ale Shenda wiedziała, że ogrody wokół zamku Arrow są już okryte kwieciami. Nie ma nic piękniejszego niż widok złotych żonkili pod drzewami albo żółte i purpurowe główki krokusów wystające ponad ziemię, która zimą była tak naga. Są jeszcze fioletowe i białe fiołki kwitnące kilka dni wcześniej niż krzewy jaśminu.

Lasy mają nieopisany czar, trzeba to przyznać, i w każdym jest jakieś sekretne miejsce. W tym lesie był staw, który, zdaniem Shendy, z całą pewnością był zaczarowany. Jego brzegi ozłacały kaczeńce, a w srebrzystej tafli wody odbijały się jak w zwierciadle nadobne irysy. Kiedy tylko czuła się przygnębiona i samotna, właśnie do tego zakłętego stawu kierowała swe kroki.

Shenda skrycie wierzyła, że tam spośród kwiatów zerkają na nią leśne wróżki, pod drzewami skrywają się chochliki, a w głębinach mają swe schronienie wodne rusalki.

Ponieważ nie miała rodzeństwa, jej sny wypełniały stworzenia z innego świata, którego bliskość zawsze czuła.

Uważała się za szczęśliwą, bo Rycerski Las, jak go nazywano, kończył się tuż przy plebanii. Podczas gdy jej ojciec zajęty był kazaniami lub parafianami, którzy nawiedzali go tłumnie ze swymi" bolączkami, Shenda wymykała się do magicznego lasu.

Chodziła zupełnie sama, nie licząc jej ukochanego kompana, który akurat w tym momencie nie dreptał, jak powinien, przy jej nodze. Właśnie w gąszczach zwęszył królika i popędził za nim tak szybko, że Shenda nie zauważyła nawet jego nieobecności.

Rufusa wychowała od szczeniaka. Był to mały, zgrabny spaniel, którego w innych okolicznościach wytresowano by na psa myśliwskiego jak wszystkie spaniele na zamku Arrow.

Stary hrabia chorował przez ostatnie trzy lata i nie mógł już polować, a jego dwaj synowie walczyli gdzieś daleko z potworem zwanym Bonaparte, który groził, że wtargnie do Anglii. Dlatego od dawna nie słyhać było w lesie odgłosów strzałów, co ogromnie cieszyło Shendę. Już sama myśl, że jakakolwiek istota mogłaby być zabita, napawała ją trwogą. Szczególnie obawiała się o ptaki, które kochała, bo, jak twierdziła, śpiewały tylko dla niej, kiedy spacerowała pod drzewami.

Siadała więc przy swej zakłętej sadzawce, gdzie ptaki przychodziły pić, i wsłuchiwała się w ich śpiew.

Tak naprawdę to nawet nie pamiętała, czym były dla niej „stare złe czasy”, kiedy jesienią odbywały się polowania, a gajowi mówili, że w lasach jest zbyt wiele srok, łasic i lisów. Kochała te zwierzęta tak samo jak małe wiewiórki, które, gdy tylko się zbliżała, zwinnie uciekały na drzewa myśląc, że chce skraść ich orzechy.

Sześć miesięcy temu umarł stary hrabia. Chociaż pogrzeb miał okazały, mało kto w wiosce go opłakiwał. Zresztą nikt go od dłuższego czasu nie widział. Nikt się też specjalnie nie przejął, kiedy kilka miesięcy wcześniej rozniosła się wieść o śmierci jego starszego syna George'a. Doktor powiedział, że hrabiemu pękło serce, gdy tylko otrzymał tę wiadomość z Indii.

Panicz George, jak nazywali go starsi służący z zamku, był w dalekich krajach przez osiem lat. Młodzi ludzie nawet nie pamiętali, jak wyglądał.

Wszystko to oznaczało, że młodszy syn, czyli panicz Durwin, stał się prawowitym dziedzicem i zamku, i tytułu. On jednak już w młodym wieku zaciągnął się do marynarki.

Mówiono, że opierał się samemu Bonapartemu uniemożliwiając francuskim statkom opuszczenie portów. Nikt jednak nie wiedział, jak było naprawdę, chociaż ostatnio rozchodziły się wieści o nieustraszonym kapitanie Durwinie Bow.

Zamek stał pusty, a ludzie z wioski przychodzili ze swymi skargami i bolączkami na plebanię, bo w zamku nie było nikogo, kto by ich wysłuchał. Zarządca, do którego należało przyjmowanie petentów narzekających, że dach cieknie, pompa nie działa, a okna wylatują z zawiasów, dwa lata temu przeszedł na emeryturę. Był teraz przykuty do łóżka reumatyzmem, który uniemożliwiał mu wychodzenie z domu, a z powodu głuchoty nie słyszał nic, co do niego mówiono.

- Wsyćko sie niedługo rozwali - usłyszała, jak jeden z pracowników majątku skarżył się jej ojcu.

- Dlatego, że jest wojna... - odparł poczciwy pastor.

- Wojna, nie wojna, długo nie damy rady zatykać dziur w ścianach, łątać dachów i tak dalij.

Pastor tylko westchnął, bo cóż więcej mógł zrobić.

Shenda zdawała sobie sprawę, czym była ta wojna: biedą i niedolą dla wszystkich wokół. Jej ojciec najbardziej odczuł brak polowań, na które zwykle jeździł zimą. Kiedyś nazywano go nawet „polującym kaznodzieją”. Dawni towarzysze polowań albo brali czynny udział w wojnie, albo przez nią zubożeli i nie byli w stanie organizować ich na odpowiednim poziomie.

Pastorowi zostały już tylko dwa konie, w tym jeden tak stary, że szybciej było pójść pieszo, niż tłuc się na grzbiecie starej Śnieżki. Shenda nie miała nic przeciwko chodzeniu, szczególnie jeśli miał być to spacer po lesie.

Teraz również zdała się płynąć po zielonym mchu, a przechodzące przez gałęzie promienie słońca dawały jej włosom złoty odcień.

Nagle usłyszała przeraźliwy skowyt Rufusa, który gwałtownie sprowadził ją ze świata marzeń z powrotem na ziemię. Zdała sobie sprawę, że go przy niej nie ma. Musiał być gdzieś niedaleko, a nie ustające wycie było najlepszym drogowskazem dla biegnącej z pomocą Shendy. Pędząc co tchu, zastanawiała się z przerażeniem, cóż się mu mogło przydarzyć. Przecież to taki dobry piesek. Nigdy nie szczekał, gdy jej ojciec pracował w swoim gabinecie.

Odgłos, który słyszała, na pewno nie był szczekaniem, raczej wyciem z bólu. Znalazła go wreszcie pod wiekowym wiązem z łapą utkwioną w sidłach, chociaż nigdy przedtem nie widziała sideł w lasach przy zamku Arrow. Rufus już nie jęczał, ale żałośnie skamlał. Sidła wyglądały na nowiuteńkie. Ich ostro uzębione szczęki zacisnęły się mocno na jego łapie. Shenda rozpaczliwie próbowała je otworzyć, a widząc, że ucisk jest zbyt silny, postanowiła sprowadzić pomoc. Klepiąc swego przyjaciela, uspokajała go czułym głosem, że zaraz kogoś znajdzie i żeby się stąd nie ruszał. Westchnęła z ulgą widząc, że nie próbuje za nią iść.

Zaczęła biec co tchu w stronę domu. Ponieważ do wioski było dość daleko, zastanawiała się, kogóż mogłaby sprowadzić. O tej porze dnia wszyscy zdolni do pracy mężczyźni byli zajęci, a w chatach zostały jedynie kobiety. Pomyślała o ojcu, ale ten wyjechał wczesnym rankiem z wizytą do starszej damy, która mieszkała mniej więcej dwie mile od wioski. Wysłała mu pilną wiadomość, że umiera i musi się z nim zobaczyć. A ponieważ owa matrona umierała już kilka razy wcześniej, Shenda stawiała pilność tej wizyty pod wielkim znakiem zapytania. Zbyt dobrze wiedziała, że jej ojciec jest czarującym, przystojnym mężczyzną i że całe grono kobiet posyłało po niego pod byle pretekstem. Ceniły sobie cichą rozmowę z człowiekiem, który jest zawsze rycerski i gotowy dodać otuchy.

- Nie wrócę na obiad... - zakomunikował córce przed wyjściem. - Nie martw się...

- Już wcześniej nastawiłam się, że będę jeść sama - odparła zirytowana. - I tak wiem, że pani Newcomb stanęłaby na głowie, byleby mieć cię przy sobie... Przynajmniej wreszcie zjesz coś dobrego.

Pastor zaśmiał się serdecznie.

- Przyznam się, że cenię sobie kuchnię pani Newcomb. Zawsze jednak drogo za nią płacę wysłuchując nie kończącej się listy niedomagań owej damy, zarówno natury cielesnej, jak i duchowej.

Ze śmiechem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Kocham cię, tatuśku, gdy tak mówisz. To zawsze rozśmieszało mamę...

Pocałował ją, ale nie udało mu się ukryć bólu, kiedy Shenda wspomniała matkę.

Jaki ze mnie głuptas, że mu o niej przypomniałam - pomyślała po chwili.

Chyba nie było szczęśliwszych ludzi niż wielebny James Lynd i jego śliczna żona Doreen. Pobrali się po długich miesiącach sporów ze swymi rodzinami. Mimo mrocznych przepowiedni, że tego pożałują, byli niebiańsko szczęśliwi.

James był trzecim z kolei synem zubożałego właściciela ziemskiego, który miał kawałek jałowej ziemi gdzieś w głuszy hrabstwa Gloucestershire. Jego ojcu udało się uciułać trochę pieniędzy, by posłać najstarszego syna do jednostki, w której sam służył. Kalectwo średniego syna było ogromnym obciążeniem dla i tak chudej sakiewki. Jedyłą rzeczą, którą mógł zaoferować najmłodszemu Jamesowi, była posada pastora w miejscowym kościele za symboliczne wynagrodzenie.

Jednak dla Jamesa i Doreen nie było ważniejszej rzeczy niż wzajemne uwielbienie. Z radością wprowadzili się do

małej, niewygodnej plebanii, wypełniając ją miłością. Dopiero kiedy na świat przyszła Shenda, spojrzeli na życie z bardziej praktycznego punktu widzenia. James wybrał się na spotkanie z biskupem, a ten zaoferował mu parafię w posiadłości zamku Arrow. Hrabiego z Arrow stać było na wypłacanie swym beneficjentom całkiem niezłych sum.

James i Doreen byli oczarowani swym nowym gniazdkiem. Mały domek w dobrym stanie, zbudowany w stylu elżbietańskim, przyciągał niejedno zachwycone spojrzenie. Ponieważ James miał nie tylko szlacheckie pochodzenie, ale i opinię wspaniałego jeźdźca, powitano go w parafii z należnymi honorami. Przyszłość wydała się wspaniała.

Potem wybuchła wojna i zaczęły się zmiany. Podczas rozejmu w 1802 roku sytuacja nieco się polepszyła, ale na bardzo krótko. Wkrótce znów rozpoczęły się działania wojenne, ludzie mieli więcej kłopotów niż pieniędzy, a wszystko drożało z dnia na dzień.

Matka Shendy umarła po długiej mroźnej zimie, kiedy niespodziewanie nabawiła się zapalenia płuc. Dla Shendy wszystko to stało się tak nagle; jednego dnia matka była z nimi, obdarzając każdego promiennym uśmiechem, a następnego cała wioska odprowadzała ją na cmentarz, płacząc, że ich opuściła.

Shenda robiła wszystko, by ojciec czuł się jak najlepiej, jeśli już nie mógł być szczęśliwy. Jednak każdy dzień stawał się coraz trudniejszy i pieniędzy na żywność było coraz mniej. Nic nie mogła poradzić na przesadną hojność swego ojca, który nigdy nie odmówił grosza potrzebującym.

- Pan Lynd oddałby ostatnią koszulę, gdyby ktoś go o to poprosił - jeden ze służących powiedział kiedyś z ironią do Shendy.



Wiedziała, że to prawda, ale nawet kiedy dawała mu reprimendę, nie słuchał jej.

- Chcesz, żebym pozwolił tym ludziom umrzeć z głodu? - pytał z wyrzutem za każdym razem, gdy protestowała zbyt natarczywie.

- To nie ten stary spryciarz Ned umrze, ale ty i ja! - broniła się Shenda.

- Uspokój się, kochanie... Jestem pewien, że damy sobie radę - zwykł odpowiadać i szedł wspomagać następnego żebraka.

Martwiła się o niego, bo wychodził zimą bez względu na pogodę. Przez to nabawił się nieustannego kaszlu, który męczył go nawet podczas snu. Przyrządzała dla niego ziołową nalewkę z miodem, specjalność matki, ale kaszel nie ustępował. Tym, czego naprawdę potrzebował jej ojciec, były trzy porządne posiłki dziennie, na które nie mogli sobie pozwolić.

- Być może, kiedy wróci młody hrabia - powiedziała pewnego dnia do starej Marty, jedynej służącej, jaka pozostała na plebanii - to zrozumie, że trzeba podnieść tygodniówki, aby nadażyć za wciąż wzrastającymi cenami. Nie wiem, jak długo uda nam się utrzymać z pensyjki ojca.

- Jak go nie obaczym przed końcem wojny - głos Marty zabrzmiał złowieszczo - to wszyscy pójdziem do piachu, i nikt nas nie będzie opłakiwał. A to przez kogo... przez tego kurdupła, ot co! - dodała.

Ma rację - myślała Shenda. - To Napoleon jest winien całej naszej niedoli.

To on sprawił, że dwoje ludzi wróciło ciężko rannych; jeden bez ręki, a drugi bez nóg. To on opróżnił spiżarnię na plebanii.

Jeśli nie ma ojca, to gdzie mam szukać pomocy? - myśli jej znowu wróciły do Rufusa.

Nagle, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, tuż na skraju lasu dostrzegła jeźdźca. Wyglądał na szlachcica. Jechał powoli, od czasu do czasu zatrzymując konia pod drzewami.

Bez zastanowienia skierowała swe kroki w jego stronę. Z bliska wydał się jeszcze bardzo młody. Głowę zdobił mu założony na bakier kapelusz, pod szyją miał fular zawiązany jakimś zawiłym sposobem i zakończony spiczasto kołnierzyk.

Nie miała czasu na dłuższą obserwację, ale podziękowała Bogu, że go spotkała.

- Proszę mi pomóc! - wykrzyknęła z trudnością łapiąc oddech.

Oczy jeźdźca zaczęły wędrować po jej włosach, które fruwały nad czołem z taką szybkością, z jaką przed chwilą pędziła.

- Potrzebuję natychmiast pomocy! - powtórzyła rozpaczliwie swą prośbę. - Mój pies wpadł w sidła.

Stanowczość jej tonu wywołała zaniepokojenie na twarzy mężczyzny, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Shenda krzyknęła:

- Szybko, proszę za mną!

Popędziła do miejsca, gdzie czekał na nią Rufus.

Pies leżał żałośnie skamłając. Uklękła przy nim, słysząc za sobą odgłos zeskakującego z konia nieznajomego. Podszedł do niej i spojrzał na dół.

- Niech pani będzie ostrożna, pies może ugryźć - to były jego pierwsze słowa, na które Shenda odburknęła ze złością:

- Rufus na pewno mnie nie ugryzie. Niech pan wreszcie otworzy te okropne sidła. W ogóle nie powinno ich tutaj być!

Po tym niecierpliwym ponagleniu schylił się i jednym szarpnięciem rozerwał szczęki sideł. Pies zawył z bólu. Szybko chwyciła go w ramiona i kołysała jak dziecko.

- Już po wszystkim... Już dobrze... Już cię więcej nie zranią... Dzielny chłopiec - szeptała drapiąc go za uchem.

Wiedziała, że to uwielbiał.

Tymczasem tajemniczy wybawca wyjął z kieszeni chusteczkę i uklęknął, by owinąć zranioną łapę. Z bliska mogła przyjrzeć mu się dokładniej.

- Dziękuję, dziękuję bardzo - odezwała się po chwili. - Jestem taka wdzięczna... Nie wiem, gdzie bym teraz znalazła silnego mężczyznę do pomocy.

- Czyżby we wsi nie było żadnych mężczyzn? - zapytał uśmiechając się zawadiacko.

- O tej porze wszyscy pracują.

- Zatem miło mi, że mogłem być pomocnym.

- Nie wiem nawet, jak mam wyrazić swą wdzięczność. .. Nie rozumiem, jak ktoś mógł zastawić tę paskudną pułapkę - dodała zirytowana. - Nigdy wcześniej nie widziałam sidła w tym lesie.

- Przypuszczam, że to sposób na pozbycie się szkodników - odrzekł przystojny nieznajomy.

- Cóż za okropny sposób! - oburzyła się. - Przecież jeśli jakiegokolwiek zwierzę wpadnie w te sidła, będzie cierpiało godzinami, jeśli nie przez całe dni, zanim je ktoś odnajdzie.

Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi ciągnęła dalej, mówiąc jakby do siebie:

- Nie rozumiem, jak ktoś może jeszcze zadawać cierpienie... przecież mamy go teraz pod dostatkiem.

- Z pewnością myśli pani o wojnie - zauważył. - Nie ma dobrych wojen, ale walczymy w obronie kraju.

- Zabicie zwierzęcia, ot tak... nie po to, aby kogoś nakarmić, na pewno nie jest dobre.

- Widzę, że chciałaby pani zreformować świat - uśmiechnął się - ale przecież zwierzęta zabijają się nawzajem. Jeśli jest zbyt wiele lisów, znikną króliki, które na pewno uważa pani za prześliczne stworzonka. Dlatego trzeba od czasu do czasu na nie zapolować.

Policzki jej pokryły się delikatnym rumieńcem, kiedy zdała sobie sprawę, że zaczyna z niej żartować.

- Natura sama zatroszczy się o odpowiednią równowagę w przyrodzie, jeśli oczywiście zostawimy ją w spokoju - broniła się. - Nigdy nie pogodzę się z myślą o powoli konających w sidłach lisach, a nawet o królikach szarpiących się we wnykach aż do uduszenia.

- Kobięcy punkt widzenia - drażnił się z nią rozmówca.

Jego pewny, oschły ton sprawił, że uznała dalszą z nim sprzeczkę za bezsensowną.

- Ten las zawsze miał dla mnie magiczny urok... Prześliczne miejsce... Gdyby teraz sidła i ludzkie okrucieństwo miały mi przeszkodzić w leśnych spacerach, czułabym się, jak gdyby zamknięto przede mną bramy raju - ostatnie słowa wypowiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Obawiając się, że znowu zacznie z niej żartować, przycisnęła Rufusa do siebie jeszcze mocniej.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję za pomoc. Muszę jak najszybciej zabrać Rufusa do domu i umyć mu łapę, żeby nie wdało się zakażenie - gdy mówiła, jej wzrok spoczął na sidłach.

- Czy zechciałby pan wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę?

- Cóż to takiego? - zapytał ciekawie.

- Niedaleko stąd jest zaklęty staw. Gdyby wrzucił pan do niego te sidła, nie zraniłyby już więcej żadnego stworzenia.

- Nie sądzi pani, że ich właściciel, który z pewnością zapłacił za nie znaczną sumę, mógłby się sprzeciwić?

- I tak nie będzie wiedział, co się stało. Nawet jeśli się na nie wykosztował, to będzie dla niego najlepsza kara.

Zaczął się śmiać.

- Bardzo dobrze - skoro okrzyknęła się pani sędzią, ławą przysięgłych i katem, oskarżony musi zapłacić za swą zbrodnię.

Szarpnąwszy za łańcuch, którym były przymocowane, wyciągnął sidła z ziemi.

- No, gdzie jest ten zaklęty staw? - zapytał z uśmiechem,

- Proszę jechać za mną, pokażę panu drogę - odparła zrobiwszy kilka kroków naprzód.

Shendzie wydało się, że staw wygląda o wiele piękniej niż dwa dni temu. Wokół niego rozkwitło jeszcze więcej kaczeńców i irysów, a przechodzące przez gałęzie słońce połyskiwało złotem na tafli wody. Brzegi były ciemne i tajemnicze, jak gdyby skrywały sekrety znane tylko bogom.

Nieznajomy stanął na samym skraju i popatrzył w dół, a potem obrzucił stojącą za nim Shendę ukradkowym spojrzeniem. Na tle zieleni drzew, wśród żółtych irysów dotykających jej sukni, Shenda zachwyciłaby swą urodą niejednego artystę.

Jej oczy zdawały się wypełniać małą, pociągłą twarz, ale zamiast odcienia błękitu, jak to zwykle bywa u złotowłosych blondynek, miały barwę delikatnej szarości. Tę cechę odziedziczyła po rodzinie matki.

Biała, jak gdyby nie tknięta słońcem, skóra przydawała jej eterycznego powabu, tak innego niż urok rumianej wiejskiej dziewczyny. Shenda, bowiem, wydawała się być częścią lasu, częścią tajemnicy zaklętego stawu i światłem słonecznym, rozjaśniającym paki wiekowych drzew.

Przez chwilę po prostu na siebie patrzyli. Wydała mu się niewiarygodnie, nadludzko piękna, a on jej, z opaloną skórą i szlachetnymi rysami, bardzo przystojnym. Było jednak w nim Coś oschłego i stanowczego, coś, co sprawiało, choć sama tego nie mogła wytłumaczyć, że wydawanie rozkazów i kierowanie ludźmi nie jest mu obce.

Miał w sobie siłę, która zdawała się pochodzić nie tylko z jego atletycznego ciała, ale również ze stanowczości umysłu.

Nagle odezwał się, przerywając zauroczenie, które na chwilę odebrało im mowę:

- Czy życzy sobie pani, abym wrzucił je na sam środek?

- Tak, tam jest o wiele głębiej niż gdzie indziej.

Rozhuśtał sidła za łańcuch, a potem puścił. Wpadły z pluskiem, rozpryskując opalizującą wodę, która po chwili znów odzyskała swój srebrzysty spokój.

Shenda westchnęła.

- Bardzo dziękuję - wymamrotała. - Muszę już zabrać Rufusa do domu.

Posłała sadzawce pożegnalne spojrzenie, jakby chciała ją objąć, po czym z wdziękiem odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Koń nieznajomego stał nadal tam, gdzie go zostawiono, skubiąc wyrastające ze ściółki kępki trawy. Złapał go za cugle mówiąc:

- Skoro musi pani dźwigać swego pieska, podwiozę panią do domu.

Shenda była zaskoczona tą nieoczekiwaną propozycją ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, pochwycił ją w ramiona i wsadził na konia.

Ruszyli omszałą ścieżką w stronę wioski. Jechali w milczeniu aż do skraju lasu. Wreszcie Shenda dojrzała w oddali ogród przy plebanii.

To byłby wielki błąd, gdyby ktoś z wioski zobaczył mnie z nieznajomym mężczyzną - pomyślała - albo gdyby się dowiedział, że Rufus wpadł w sidła.

Gdyby jeszcze wiedziano, że ów nieznajomy przywiózł ją na swoim koniu, plotkom nie byłoby końca.

- Skoro mój dom jest tuż przed nami - odezwała się pierwsza - chciałabym już dalej iść sama, uprzejmie proszę.

Zatrzymał się i zanim zdążyła zeskoczyć, postawił ją z powrotem na ziemi z taką łatwością, z jaką wcześniej posadził ją w siodle.

Była lekka jak piórko, jego palce niemal objęły jej wąską talię.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję - powiedziała, gdy jej stopy znów dotknęły ziemi. - Jestem bardzo. .. bardzo wdzięczna i nigdy nie zapomnę pańskiej... życzliwości.

- Czy mógłbym poznać imię pani? - zapytał.

- Shenda - odrzekła bez namysłu.

- Zatem do widzenia, Shendo - powiedział uchylając kapelusza. - Mam nadzieję, że teraz, kiedy zniszczyliśmy to, co zakłócało spokój twego zaklętego świata, będziesz mogła go odwiedzać bez strachu.

- Ja również.

Czuła, że powinna powiedzieć coś więcej. Kiedy się wahała, usłyszała jego cichy głos:

- Jeżeli jest pani naprawdę wdzięczna za tę niewielką przysługę, którą udało mi się spełnić, powinna mnie pani nagrodzić za mój trud.

Spojrzała na niego zakłopotana, nie rozumiejąc ani słowa. Wtedy delikatnie ujął jej twarz, przyciągnął do swojej i pocałował.

Przez pewien czas stała bez ruchu. Chwilę po tym wskoczył na konia i zanim zdobyła się na jakąkolwiek reakcję, odjechał.

Chyba śnię... - myślała patrząc na jego znikającą za drzewami sylwetkę.

Czy to możliwe, że po raz pierwszy w życiu pocałował ją mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie spotkała i który naruszył granicę jej zaklętego lasu? Choć minęło już kilka chwil, nadal stała bez ruchu, tkwiąc w przekonaniu, że to wszystko musiało jej się wydawać. Takie rzeczy nie zdarzają

się w rzeczywistości. Ale przecież czuła jeszcze dotyk jego ust i choć to nieprawdopodobne, chyba naprawdę ją pocałował.

Rufus zawył żałośnie, przerywając jej zadumę. Trzymając go blisko przy piersi, pobiegła w stronę ogrodu, a potem wzdłuż ścieżki, która prowadziła do tak zwanych ogrodowych drzwi. Przekroczywszy je poczuła, że znów wraca do swej szarej codzienności.

Trzeba było zająć się łapą Rufusa, a poza tym, im szybciej zapomni o dzisiejszym wydarzeniu, tym lepiej dla niej. Zanim jednak przestąpiła próg kuchni, już wiedziała, że nigdy tego nie zapomni.

W kuchni nie było żywej duszy. Stara Marta zwykle przychodziła rano, by uprzątnąć i przygotować śniadanie. Potem wracała do chaty, gdzie mieszkała z synem, o którym miejscowi mówili, że jest bez piątej klepki. Zajmowała się nim do południa, po czym znów szła na plebanię, by przygotować obiad dla Shendy i jej ojca.

Marta była wspaniałą kucharką. Wyszkoliła się jeszcze jako młoda dziewczyna, będąc na służbie w zamku. Ale żeby dobrze gotować, trzeba mieć odpowiednie produkty. Shenda zdawała sobie sprawę, że trudno było kupić dobre mięso, za którym przepadał jej ojciec, nie mając wiele pieniędzy.

Marta dzisiaj wyszła wcześniej, bo nie było jej na śniadaniu. Na talerzu zostawiła coś zimnego na obiad i sałatę. Warzywa były w ogrodzie.

Shenda położyła Rufusa na stole, który Marta codziennie zawzięcie szorowała. Na łapie psa nadal tkwiła splamiona krwią chusteczka nieznajomego. Zrobiona z płótna najlepszej jakości wyglądała na bardzo kosztowną. Shenda pomyślała z uśmiechem, że jest to raczej nieprawdopodobne, aby powróciła do właściciela. Zapytał ją o imię, ale ona nie uczyniła tego samego.



Nieważne... - mówiła do siebie. - I tak go więcej nie zobaczę...

Pewnie gościł w jednym z wielkich domów z sąsiedztwa. W okolicy niewielu było starszych zamożnych ludzi, których synowie porzucili rozrywki, aby walczyć na wojnie. Chociaż, kiedy żyła jeszcze matka, zapraszano ich od czasu do czasu na huczne obiady. Jednak przystojny nieznajomy w eleganckim odzieniu jakoś do nich nie pasował.

Zatem wszystko to musiało mi się tylko przyśnić - pomyślała obmywając łapkę Rufusa.

Pies zaskamlał, gdy nieostrożnie dotknęła zranionego miejsca. W szufladzie znalazła kawałek czystego płótna. Właśnie miała włożyć chusteczkę do zimnej wody, żeby wymoczyć ślady krwi, gdy usłyszała głośnie pukanie do drzwi.

- Proszę! - krzyknęła domyślając się, że to ktoś z wioski.

Drzwi otworzyły się. Stał za nimi potężny syn znajomego farmera.

- Dzień dobry, Jim! - powiedziała z uśmiechem. - O co chodzi?

- Złe wieści, panienko - odezwał się Jim.

- Co... co się stało?! - spojrzała na niego przerażona.

- Ojciec panienki... ale to nie nasza wina... Myślelim, że najlepiej będzie bykowi na tym polu...

- Byk?... Co się stało?

- Ano tyn byk zwałił wielebnego pastora z konia, panienko, i zdaje się, że na śmierć!

- Nie, to nie może być prawda, powiedz, że to nieprawda!

- Shenda krzyczała z rozpaczą.

- Tak było, panienko. Mój ojciec i kilku z wioski niosą go do domu na bramie.

Z wysiłkiem postawiła Rufusa na podłogę. Potem popędziła w kierunku przedsionka, aby otworzyć frontowe drzwi, a Jim polazł za nią biadoląc bez końca:

- To nie nasza wina, panienko. Myślelim, że nikt nie wjedzie na to pole.

## Rozdział 2

Jadąc do admiralicji hrabia z zamku Arrow myślał z podziwem o premierze. Mimo sprzeciwu całego Gabinetu i dużej liczby posłów William Pitt i tak mianował pierwszym lordem admiralicji swojego człowieka. Zdaniem hrabiego nie można było dokonać lepszego wyboru niż admirał sir Charles Middleton, obecnie lord Barham. Ci, którzy znali go, zanim przeszedł w stan spoczynku, wiedzieli, że był to najlepszy dowódca marynarki od czasów Samuela Pepysa.

Kiedy Viscount Melville został zmuszony do rezygnacji pod zarzutem nadużywania władzy w swoim departamencie, pojawiło się wielu chętnych na to stanowisko, popieranym nie tylko przez Gabinet, ale i przez opozycję.

Podczas zimy premier zawzięcie walczył, aby uformować kontynentalną koalicję, która stawiałaby czoło nie kończącym się kłopotom. Konieczne stało się pozyskanie potencjalnych sprzymierzeńców nie tylko dla materialnego wsparcia, ale również ze strachu przed Napoleonem, z powodu oblodzonych dróg zatrzymujących kurierów przez całe tygodnie, zupełnie nierealistycznych nadziei Rosji na współpracę z Hiszpanią i dlatego, że obce mocarstwa nie potrafiły zrozumieć natury i ograniczeń brytyjskiej floty.

Premier dzielnie radził sobie z tymi przeszkodami. Surowo potraktowany przez ostre języki opozycji, wprowadził nową ustawę, żeby wciągnąć policję do armii, zyskując w ten sposób siedemnaście tysięcy żołnierzy. Ponadto zbierał wszystkich mężczyzn, którzy mogli opuścić Anglię, i już w marcu pięć tysięcy ludzi czekało, by Wyruszyć do Indii. Hrabia, świadomy doniosłości tych poczynań, miał ogromny szacunek do premiera. Ale jako marynarz był przekonany, że jedyna nadzieja Anglii leży w rękach marynarki.

W admiralicji już go oczekiwano i natychmiast wprowadzono do biura, gdzie czekał na niego lord Barham.

Lord Barham wstał, kiedy wszedł hrabia. Jak na swoje siedemdziesiąt osiem lat, wyglądał jeszcze bardzo krzepko. Książę Walii i wigowie, którzy byli przeciwni jego nominacji, rozgłaszali że jest osiemdziesięciodwuletnim staruszkiem i mieli z tego dobrą zabawę.

- Hrabio! - wyciągnął rękę na powitanie. - Nie mogę wyrazić, jak bardzo się cieszę z pańskiej wizyty.

- Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem, ale ciężko mi było opuszczać statek.

- Spodziewałem się tego! - wykrzyknął admirał.

- Muszę ci pogratulować nie tylko jako najmłodszemu kapitanowi brytyjskiej floty, ale również twoich osiągnięć... Chyba nie ma potrzeby, aby je wyliczać - dodał.

- Absolutnie żadnej! - odpowiedział hrabia siadając w wygodnym fotelu wskazanym mu wcześniej przez gospodarza, a potem z odrobiną niepokoju w głosie zapytał:

- A teraz do rzeczy, sir. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał wrócić do domu, gdy tylko odziedziczę tytuł i majątek mego ojca, ale po co aż tyle pośpiechu wokół całej tej sprawy?

- Jesteś mi potrzebny na miejscu - zabrzmiała krótka odpowiedź.

Hrabia ze zdziwieniem uniósł brwi, a lord Barham ciągnął dalej:

- Nie znalazłem nikogo, kto mógłby mi lepiej pomóc w obecnej sytuacji. Młody dziedzic Arrow słuchał pilnie nie przerywając jego wypowiedzi.

- Nie chcę, żebyś został w moim sztabie, co by ci się z pewnością nie spodobało, ale mam dla ciebie inne zadanie, o którym nikt nie może wiedzieć. Zadanie dotyczące kręgów życia towarzyskiego, które będziesz zmuszony wieść jako nowy hrabia.

Wyraz twarzy słuchacza, wcześniej zabarwiony ciekawością i niepokojem, zmienił się. Obawiał się, kiedy otrzymał rozkaz powrotu ze statkiem blokującym Francuzom wyjście z Tulu, że będzie zmuszony przyjąć posadę jakiegoś sztabowego urzędniczyny. Zamierzał za wszelką cenę sprzeciwić się tej nominacji i teraz odetchnął z ulgą iż pomylił się co do intencji lorda Barhama.

Naczelnny dowódca floty usiadł obok niego.

- Spodziewałem się, że przyjmując to stanowisko zastanę bałagan. Chyba nie muszę ci mówić, w jakim stanie ten cały Henry Dundas, albo jak się on teraz nazywa, Viscount Melville, zostawił dokumenty o wydatkach floty.

Hrabia kiwnął głową, a lord Barham mówił dalej:

- Nie przykładał do nich należytej wagi i to zemściło się później przez ujawnienie pewnych wykroczeń, które popełniono za jego kadencji dziesięć lat temu.

- Słyszałem coś na ten temat. Wieści z Anglii przychodziły jednak w tak przypadkowy sposób, że trudno było śledzić na bieżąco wszystkie sprawy polityczne.

- Melville musiał zrezygnować. Teraz zajmuję jego stanowisko - ciągnął admirał. - Moi wrogowie tylko czekają, abym się zbłąźnił.

- I tego, oczywiście, pan zrobić nie może!

- Dlatego właśnie potrzebuję twojej pomocy - twarz admirała rozjaśniła się. - Musisz wykryć przecieki tutaj, w admiralicji. Szpiedzy Bonapartego są wszędzie, nawet w Carlton House!

Hrabia Arrow wyprostował się na swym fotelu.

- Czy jest pan pewien? - zapytał z niedowierzaniem.

- Zupełnie pewien! - padła natychmiastowa odpowiedź. - Napoleon jest dokładnie poinformowany o każdym naszym kroku i tak dalej być nie może.

- Oczywiście, że nie - obruszył się hrabia. Twoje zadanie będzie stosunkowo proste - wyjaśnił lord Barham. - Jesteś teraz człowiekiem cieszącym się wielkim prestiżem w kręgach towarzyskich. Założę się, że księżę Walii chętnie uczyni z ciebie swego powiernika.

Gdy to mówił, w jego oczach pojawił się niespokojny błysk.

- Twoje śmiałe eskapady przeciwko Francuzom na pewno go rozbawią, ale upewnij się, że usłyszysz o nich pierwszy, zanim inni będą wiedzieli.

Na te słowa twarz hrabiego przybrała dziwny wyraz, który świadczył, że nie życzy sobie nadać swym wyczynom żadnego rozgłosu.

- Nie czas teraz na fałszywą skromność - skomentował lord Barham. - Wszystko, co zrobisz, musi mieć swój cel, który będzie częścią mego planu na pokonanie Napoleona.

- Mogę się tylko modlić, żeby się panu udało! - padła odpowiedź prosto z serca.

- Oczywiście, to nie będzie łatwe. A teraz zamierzam powierzyć ci tajemnicę, która pod żadnym warunkiem nie może dotrzeć do Napoleona.

Hrabia przysunął się bliżej mówiącego.

- Duży i niezmiernie ważny oddział żołnierzy pod dowództwem generała sir Jamesa Craiga został przeniesiony do Portsmouth. Będą wysłani na, cytuję: „Tajną Ekspedycję” nie wiadomo dokąd.

Widząc, że jego słuchacz pilnie rozważa każde słowo, lord Barham szeptał dalej:

- Z godną podziwu odwagą, nie zważając na możliwość najazdu na nasz kraj, premier zamierza wysłać ten oddział w nieznane.

- Tego właśnie bym się po nim spodziewał - w głosie hrabiego zabrzmiał ton podziwu.

- Owa „Tajna Ekspedycja” - ciągnął dalej admirał - ma przed sobą 2500 mil drogi, w tym pięć poważnych przeszkód. Każda z nich liczy blisko siedemdziesiąt uzbrojonych okrętów wroga.

Nie trzeba było wyjaśniać hrabiemu, który właśnie wrócił do Anglii, powagi niebezpieczeństwa, na które była narażona taka wyprawa.

- Teraz usłyszysz coś, czego nikt nie wie w tym sztabie z wyjątkiem mnie; mianowicie, jakie rozkazy otrzymał Craig.

Zdając sobie sprawę, jak ściśle tajna jest ta wiadomość, hrabia z trudnością powstrzymał się od spojrzenia w tył, obawiając się obecności potencjalnego podsłuchiacza.

- Craig ma wyruszyć na Maltę - powiedział admirał z powagą. - Tam dołączy do ośmiu tysięcy żołnierzy i wraz z wojskami rosyjskimi z Korfu rozpocznie działania wojenne mające na celu wyzwolenie Królestwa Neapolitańskiego i obronę Sycylii.

Przez cały czas hrabia patrzył na swego rozmówcę z niedowierzaniem, a ten mówił dalej:

- A jeżeli zajdzie potrzeba, ma rozlokować swoje oddziały na wyspie, nawet bez zgody króla. Z pomocą Nelsona będzie również ochraniać Egipt i Sycylię.

- Mogę tylko dodać, że jestem zdumiony - odezwał się wreszcie, kiedy admirał skończył. - Teraz, kiedy zdaję sobie sprawę z ogromnych niebezpieczeństw, na jakie narażona jest ta wyprawa, rozumiem, dlaczego nazwano ją „Tajną Ekspedycją”.

Pomyślał również uśmiechając się do siebie, że upchani na statku żołnierze, znudzeni miesiącami bezczynności, nie będą się mogli doczekać działań wojennych. Armia będzie miała przynajmniej szansę sprawdzenia się.

- Żeby skończyć mój wywód - powiedział admirał - muszę dodać, że dwa dni temu, 19 kwietnia, wiatr, który

zatrzymał czterdzieści pięć transportowców w porcie, zmienił się. Wyłynęły eskortowane przez dwa najlepsze pancerniki.

- Czy pan naprawdę jest przekonany, że można to utrzymać w tajemnicy?

- Wiem, że szpiedzy Napoleona są bardzo czujni - odparł lord Barham. - Wiem też, że nie mają pojęcia, gdzie ma udać się ekspedycja - dodał. - Napoleon uważa, że wysyłamy ją do Indii Zachodnich.

- W takim razie wyśle tam wszystkie swoje statki! - wykrzyknął hrabia.

- Oczywiście! - zgodził się admirał. - Pewny swego zbliżającego się panowania nad światem, będzie chciał nastraszyć Downing Street (Downing Street - ulica w Londynie, na której mieszka premier i znajdują się ważne instytucje rządowe.), żeby rozproszyła swoje skąpe siły wojskowe.

- Myślę, że orientuję się w sytuacji. Nie bardzo jednak rozumiem, jaka ma być moja rola.

- Pogłównij trochę, drogi chłopcze - odpowiedział admirał uśmiechając się zagadkowo. - Sam pewnie zdajesz sobie sprawę, że szpiedzy to niekoniecznie podejrzanie wyglądający mężczyźni w czarnych ubraniach, skrywający się po ciemnych kątach ulic. Nierzadko bowiem mają parę pięknych oczu, błagalne spojrzenie, grymaśną minkę i słabość do diamentów!

- Czy mówi pan poważnie? Czy rzeczywiście są w Anglii kobiety, które byłyby szpiegami Napoleona? - hrabia zmarszczył brwi.

- Chętnie i niechętnie, rozmyślnie i nie, przyznaję, że takie rzeczy się zdarzają - tłumaczył admirał. - Cóż, sam powinienesz wiedzieć, że słówko wyszeptane do leżącego obok maleńkiego jak muszelka uszka może pociągnąć za sobą



śmierć wielu brytyjskich żołnierzy lub zatonięcie statku, który w danym momencie jest nieodzowny do obrony kraju.

Hrabia zacisnął usta.

- Dokładnie wiem, co ma pan na myśli. Dwa miesiące temu sam o mało nie straciłem mojego statku, bo ktoś zaalarmował wroga, że się zbliżamy. I chyba tylko dzięki Bożej opatrzności udało się nam uratować w ostatnim momencie.

- W takim razie rozumiesz już, o co cię proszę. Kręć się wśród serdecznych przyjaciółek jego wysokości, które zlatują się do Carlton House jak głodne wrony. Składaj wizyty wielkim damom, zarówno tym, które spraszają do siebie torysów jak i wigów. Miej oczy i uszy otwarte!

- A jeśli mi się nie powiedzie? - spytał hrabia. - Na mostku czuję się jak w domu i o wiele lepiej radzę sobie z okrętem niż z kobietami.

- Zbyt długo byłeś na morzu! - zaśmiał się admirał. - Ale teraz musisz zapomnieć o śmiałych wyczynach kapitana Durwina Bow i całą swą uwagę skoncentrować na byciu hrabią, który myśli tylko o zabawach.

- Chyba jednak wolałbym posadę przywiązanego do biurka urzędniczyny, jakiej się zresztą spodziewałem, kiedy pan po mnie posłał - westchnął młody kapitan.

- To mój chłopcze byłoby nieumiejętne wykorzystanie twych talentów, zniewalającej aparycji i oczywiście pozycji społecznej - powiedział ze śmiechem jego przełożony. - Przecież nikt nie będzie podejrzewał, że hrabia może być szpiegiem. Musisz działać właśnie jak szpieg. Ja mogę cię tylko prosić, byś zdał sobie sprawę, że zależy od ciebie życie siedmiu tysięcy żołnierzy. Poza tym, jeśli nie uda im się dotrzeć do celu, premier będzie miał więcej kłopotów z Rosjanami, niż miał dotychczas.

- No cóż, zrobię wszystko, co w mojej mocy - odparł hrabia.

- To właśnie chciałem usłyszeć - to mówiąc lord wstał i hrabia zdał sobie sprawę, że jego wizyta dobiegła końca.

- Nie przychodź do mnie, jeśli nie będziesz miał nic ważnego do przekazania - lord Barham dawał mu ostatnie wskazówki. - Niczego nie zapisuj, nie ufaj nikomu w tym biurze i poza biurem.

- Już teraz ciarki przechodzą mi na samą myśl!

- Nie ma rady, trzeba to zrobić. Lord Barham zamilkł na moment.

- Nie możemy sobie pozwolić na siedzenie z założonymi rękami. A propos, nie miałem ostatnio żadnych wieści od Nelsona. Temu młodemu człowiekowi często zmieniają się humory.

- Nie ma pan pojęcia, gdzie on może być? - spytał hrabia z niedowierzaniem.

- Żadnego, ale jeśli ten jednooki młodzian znów udał się do Egiptu, rząd znajdzie się w niemałych tarapatach.

- Dlaczego? - wypytywał dalej hrabia.

- Ponieważ jego zadaniem jest utrzymanie kontroli na Morzu Śródziemnym.

- Myślałem, że za jego sprawą Francuzi już dawno porzucili to morze i poszli szukać przygód gdzieś na Atlantyku.

- Taką też miałem nadzieję - przyznał admirał - ale teraz Nelson przepadł i nikt nie wie gdzie.

- Jestem zupełnie pewien, że wszystko, cokolwiek uczyni, będzie słuszne - odrzekł spokojnie hrabia, choć zdawało mu się, że admirał nie podziela jego optymizmu.

Lord Barham odprowadził hrabiego do drzwi, a otworzywszy je, głośno oznajmił, że można go będzie zastać w gabinecie od frontu.

- Cieszę się, że przyszedłeś, mój chłopcze - zwrócił się do hrabiego na pożegnanie. - Będziemy za tobą tęsknić w marynarce. Rozumiem, że w twojej posiadłości czeka cię wiele pracy. Nie zapomnij jednak przeznaczyć trochę czasu na zabawę, która ci się słusznie należy.

Hrabia uściskał jego dłoń. Jeden z wyższych rangą urzędników odprowadził go do drzwi. Tymczasem lord Barham powrócił do biura z miną człowieka, który z byle powodu zmuszony był zmarnować mnóstwo czasu.

Kapitan Durwin Bow wskoczył do swego powozu, zastanawiając się, jak by tu zacząć wypełniać rozkazy lorda Barhama. A trzeba przyznać, że umysł miał bardzo wnikliwy. Pierwszy admirał wystarczająco nakreślił mu doniosłość „Tajnej Ekspedycji” i niebezpieczeństwo, na jakie była narażona, kiedy szpiegzy Napoleona przeniknęli już nawet do najwyższych sfer. Zresztą każdy kraj ma swoich szpiegów, hrabia był tego świadomy.

Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że Napoleon może być na tyle sprytny, aby zatrudnić mężczyzn i kobiety, którzy są przyjmowani przez wszystkie wybitne osobistości, księcia Walii, a być może nawet w pałacu Buckingham.

Wiedział również, że w Anglii było dużo francuskich emigrantów, przebywających tu od czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wielu z nich nie powróciło do kraju, nawet pomimo zaproszeń Napoleona, ponieważ splądrowano lub skonfiskowano ich chateau ((z franc.) chateau - dwór.) i majątki. Ci właśnie mogli stanowić największe niebezpieczeństwo, ale z drugiej strony, przecieŜ oficjalnie zaprzysięgali wieczną nienawiść do „korsykańskiego parweniusza”, który doszedł do władzy tylko dzięki rewolucji i teraz koronował się na cesarza. Byli oburzeni, kiedy dowiedzieli się, że Napoleon wprowadził się do królewskiego

pałacu i zachowuje się bardziej dostojnie niż sam najjaśniejszy pan.

Czy między emigrantami mógłby znaleźć się szpieg? - zastanawiał się hrabia. - Jeśli nie, to gdzie?

Skierował swój powóz na ulicę St. James, mijając pałac o tej samej nazwie. Teraz, kiedy z powrotem był w Anglii, postanowił odwiedzić White's Club, gdzie, z pewnością, zastanie większość swoich znajomych i usłyszy najświeższe plotki. Być może ta nagła wizyta, choć to raczej mało prawdopodobne, da mu jakieś wskazówki, gdzie ma szukać tych nikczemnych stworzeń, które gotowe są poniżyć się, biorąc pieniądze od Francuzów.

Zatrzymał powóz przed klubem. Nie zdziwił się, że główny portier powitał go ciepło.

- Dzień dobry panu. Miło znów pana widzieć po tylu latach!

To była jedna z tradycji White's Club - każdy portier powinien znać i pamiętać jego członków. Zdawał sobie sprawę, że nie był już porucznikiem Bow jak wtedy, gdy ostatni raz przekroczył te progi, ale hrabią Arrow.

- Cieszę się, że wróciłem, Johnson - odpowiedział z uśmiechem.

Ucieszył się nie tylko dlatego, że portier zapamiętał jego imię, ale że i sam mógł odpłacić się tym samym.

- Kapitan Crawshore jest w porannym salonie - dodał Johnson.

To schlebilo hrabiemu jeszcze bardziej - stary portier pamiętał nawet jego przyjaciół!

Wkroczył do salonu, przerywając rozmowę i przyciągając uwagę obecnych. Nagle ktoś wykrzyknął: „Durwin!” i w sekundę potem ujrzał przed sobą Perry'ego Crawshore'a.

- Wreszcie jesteś! - wykrzyknął Perry wyciągając rękę. - Właśnie się zastanawiałem, kiedy wrócisz.

- Przyjechałem kilka dni temu - odparł hrabia. - W moim domu na Berkeley Square zastałem niezmierny bałagan!

- Pomógłbym ci, gdybyś mnie o to poprosił - wypomniał mu Perry.

- Teraz cię proszę.

Siadając koło przyjaciela na jednym ze skórzanych foteli, kazał przynieść sobie coś do picia.

- Co zamierzasz zrobić, teraz kiedy wróciłeś? - pytał Perry.

- Bawić się! Wyhustałem się na morzu przez tyle miesięcy i zacząłem nawet myśleć, że nigdy już nie będę w stanie postawić na terra firma ((z łac.) terra firma - stały ląd.) jednego stabilnego kroku.

- Zostaniesz w Londynie czy pojedziesz na wieś? - spytał Perry.

- I tu, i tu - odparł hrabia. - Poza tym oczekuję, że przedstawiś mi wszystkie piękności. Po tylu latach czuję się jak niewinny debiutant.

Na te słowa Perry Crawshore ryknął śmiechem.

Do hrabiego podeszło kilku mężczyzn, którzy pamiętali go z przeszłości, dopytując się, gdzie się do tej pory podziewał.

- Myśleliśmy, że połknął cię lew morski albo dałeś się porwać pięknej syrenie - dowcipkował jeden z nich.

- Jeśli w ogóle są jakieś syreny na Morzu Śródziemnym, ja nigdy ich nie spotkałem - oświadczył hrabia ze śmiechem - a morświny bardziej dawały się nam we znaki niż Francuzi.

- Jak długo jeszcze potrwa ta przekłeta wojna? - zapytał ktoś z przysłuchujących się.

Zapadła cisza. Hrabiemu wydało się, że wszyscy na niego patrzą.

- Skończy się wtedy, kiedy pokona się Napoleona - powiedział po chwili. - Spójrzmy prawdzie w oczy, nikt prócz nas nie może tego dokonać.

Shenda rozglądała się po domu, w którym mieszkała, odkąd tylko sięgała pamięcią. Nie mogła uwierzyć, że musi go teraz opuścić. Kiedy dostała list od nowego zarządcy posiadłości Arrow, nakazujący jej opuszczenie plebanii w ciągu dwóch tygodni, usiadła i zaczęła płakać. Jedyne miejsce, dokąd mogła się udać, był dom jej dziadka w Gloucestershire, w którym mieszkał obecnie starszy brat ojca.

W ciągu dwóch ostatnich lat spotkała go zaledwie dwa razy i wydał się jej zupełnie inny niż ojciec. Wiedziała, że po powrocie z wojska bardzo zubożał. Miał na utrzymaniu czwórkę dzieci i ciężko mu było powiązać koniec z końcem.

Jakże mogłabym obarczać go jeszcze swoją osobą? - robiła sobie wyrzuty, ale nie miała pojęcia, gdzie indziej mogłaby pójść...

Rodziny swej matki, mieszkającej w północnej Szkocji, nie знаła. Z tego, co wiedziała, nigdy nie zaaprobowali jej ojca.

Pakując ubrania i wszystkie rzeczy, które chciała zatrzymać, gorączkowo roztrząsała problem swej przyszłości. Nie było sensu udawać, że ma jakieś pieniądze, ponieważ cały jej majątek stanowiło kilka funtów uzyskanych ze sprzedaży starych mebli. Farmer Johnson, właściciel byka, który zabił jej ojca, zaoferował zaopiekować się wszystkim, co zechciałaby przechować na jego farmie.

- Weźnie se panienska szope - powiedział - albo strych, wolna wola... a ja dopatrzę, żeby się nic temu nie przytrafiło. Może być panienska pewna...

- To bardzo miło z pana strony - odrzekła Shenda - ale niewiele tego jest, kilka stołków... i być może... dwie lub trzy walizki.

- Wyśle po nie Jima z wózkiem - powiedział życzliwie - i niech panienska pamięta, wszystko co dla niej robim, robim z największą chęcią!

Czuł się winny, bo jego byk zabił jej ojca, ale tak naprawdę nie było tu niczyjej winy. Skąd ojciec miał wiedzieć, że ten szczególnie dziki byk biegał po polu, przez które właśnie przejeżdżał, jadąc z wizytą do pani Newcomb? A skąd farmer Johnson miał wiedzieć, że pastor jeździ przez to pole z przyzwyczajenia, o którym nawet nie raczył go poinformować?

Jedna z walizek była nadal pusta. Patrząc na nią, Shenda przypomniała sobie o obrusie jej matki, który pozostał w kredensie. Wyjmując go, zauważyła małe rozdarcie w koronce ozdabiającej brzegi. Zdecydowała, że trzeba to natychmiast naprawić.

Matka nauczyła ją szyć tak zręcznie, jak sama umiała. Shenda potrafiła również reperować koronki tak maleńkimi ściegami, że wszyscy we wsi podziwiali jej pracę.

Wzięła obrus i owinąwszy go w biały papier starannie włożyła do walizki. Czyniąc to zastanawiała się, czy kiedykolwiek znów będzie miała swój dom, gdzie będzie mogła używać rzeczy, które kiedyś wydawały jej się niczym niezwykłym, bo były częścią jej życia, teraz natomiast stały się luksusem.

Kiedy pieszczotliwie przesuwiała rękę po obrusie, przyszedł jej do głowy niespodziewany pomysł. Poczula, że to na pewno wskazówka od jej matki. Całą ostatnią noc spędziła modląc się do Boga, a potem do niej o pomoc.

Cóż mam uczynić, mamusiu? - pytała. - Wujek William nie zechce następnej osoby do wykarmienia. Gdybym tam poszła, zabrałabym Rufusa... a to oznacza już dwoje.

Modląc się, wiedziała, że z utratą Rufusa nie mogłaby się nigdy pogodzić. Gdzieś wewnątrz niepokoiło ją przykre uczucie, że zawsze wrogo nastawiona do niej ciotka nie zniosłaby obecności psa w domu.

Pomóż mi... mamu, pomóż!... - błagała rozpaczliwie.

Słyszając w jej głosie prośby, Rufus podszedł do łóżka, aby ją pocieszyć. Wzięła go na ręce, zadowolona, że zraniona łapa już się zagoiła. Nadal jednak chodził bardzo ostrożnie, jak gdyby się obawiał, że każde dotknięcie ziemi sprawi mu ból.

Podniósł łapkę. Zdawał się coś do niej mówić. Shenda nagle wstała i pobiegła do pustej sypialni po czepek.

- Chodź Rufus! - krzyknęła. - Idziemy na spacer!

Razem z psem przeszła przez ogród, który wydawał się teraz istnym kalejdoskopem barw, i weszła do lasu. Nie poszła jednak omszałą ścieżką do zakłętego stawu, ale skierowała swe kroki w kierunku zamku.

Zamek wyglądał bardzo okazale ze starą, wystrzeloną wysoko w niebo wieżą. Inne jego części, które dobudowywano z pokolenia na pokolenie, imponująco prezentowały się na tle lasu. Chociaż ogród przy plebanii można było nazwać sanktuarium piękna, ten koło zamku wydawał się Shendzie piękniejszy za każdym razem, kiedy go widziała.

A już wiosną nic nie mogło mu dorównać! Miała bowiem przed sobą drzewa migdałowe całe w kwiatach i żywopłoty, które, zasadzone jeszcze za panowania królowej Elżbiety, stanowiły naturalne granice pomiędzy różnymi częściami ogrodu.

Podczas choroby starego hrabiego ogrodnicy utrzymywali ogród w idealnym stanie, jakby obawiali się, że właściciel może w każdej chwili wstać i sprawdzić ich pracę.

Z pewnością czuli się bardzo zawiedzeni, że nie mógł tego uczynić - pomyślała.

Kiedy tylko odwiedzała zamek pod byle pretekstem, zawsze mówiła głównemu ogrodnikowi, staremu Holgesowi, jak prześlicznie wygląda uprawiany przez niego ogród. A ponieważ go chwaliła, nigdy nie mógł się jej doczekać.



W ogrodzie można było znaleźć kaskadę, fontannę, zielarnię, trawnik do gry w kule i tuzin innych miejsc, które cieszyły jej oczy i rozpalały wyobraźnię.

Przypomniała sobie historie dawnych mieszkańców zamku, a szczególnie pierwszego rycerza.

Otóż w zamierzchłych czasach średniowiecza stoczono bitwę u wybrzeży Anglii. Dowódca, który nazywał się Hlodwig, razem ze swymi ludźmi zaatakował Duńczyków. Najechali oni Anglię, mając o wiele potężniejszą armię, aby łupić i rabować. W trakcie walki ów Hlodwig wziął od jednego ze swych żołnierzy łuk i wystrzelił, zabijając wodza Duńczyków. Za ten czyn otrzymał tytuł rycerski i stał się sir Justinem Bow ((z ang.) bow - łuk.). Gdy wycofał się w głąb kraju, zbudował warowny zamek, który nazywał Arrow ((z ang.) arrow - strzała.).

Hrabstwo Arrow utworzono dopiero za panowania Karola II. Od wieków członkowie rodu Bow służyli nie tylko w armii i w marynarce, ale również byli powiernikami samych władców. Ta historia była tak romantyczna, że Shenda wyobrażała sobie zamek wypełniony rycerzami w zbrojach i damami odzianymi w długie, średniowieczne suknie.

Za panowania Tudorów pojawiły się kubraki, krezy i długie peruki, które zaczęły wypierać te noszone za Karola II po okresie odrodzenia. Shenda zaprojektowała sobie w myślach suknię z tej epoki. Pomyślała potem, że przydałaby się jej również suknia uszyta według współczesnej mody, która przybyła z Francji wprowadzona przez cesarzową Józefinę. Cieniutka, na pół przezroczysta muślinowa szata z wysoką talią, bufiastymi rękawami i wstęgami skrzyżowanymi na piersiach pasowałaby jej wspaniale.

Kiedy wreszcie dotarła do zamku, śmiała się ze swoich mrzonek, wiedząc, że nie o stroje powinna się teraz martwić, ale o coś do jedzenia.

Bez zastanowienia podeszła do głównych drzwi. Za chwilę ukazał się w nich lokaj, którego nigdy przedtem nie widziała. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że powinna pukać do wejścia od strony kuchni.

- Chciałabym się widzieć z panią Davison - powiedziała ciepłym głosem.

Była pewna, że służący od razu zauważył tę nietaktowną pomyłkę: nie puka się do głównych drzwi, prosząc o widzenie z ochmistrzynią.

- Zobaczę, czy pani Davison zechce pannę przyjąć - odpowiedział niedbale. - Kogo mam zapowiedzieć?

- Pannę Lynd - odrzekła Shenda. - Przychodzę z plebanii.

Na te słowa postawa lokaja zmieniła się gwałtownie.

- Jeśli panienka zechce pójść za mną, zaprowadzę ją do pokoju pani Davison.

- Dziękuję - powiedziała uśmiechając się.

Można się było spodziewać, że nowy hrabia zatrudni więcej służby, bo w ciągu ostatnich dwóch lat zamek zupełnie opustoszał. Shenda miała nadzieję, że nie zwolnił starszych służących, z którymi często spotykała się podczas długich lat choroby starego hrabiego. Jej ojciec z grzeczności odwiedzał mieszkańców zamku prawie co tydzień, zabierając ją ze sobą. Czasami nawet i stary hrabia go przyjmował. Shenda czekała wtedy w dwukółce, którą przyjeżdżali. Bates, który pracował w zamku już od czterdziestu lat, zapraszał ją do środka, gdzie mogła czekać w specjalnym saloniku przeznaczonym dla gości. A ponieważ były to zwykle popołudnia, Bates częstował ją herbatą.

W każdej komnacie meble przykryto holenderskimi narzutami, okiennice zamknięto i opuszczono zasłony.

Całe wnętrze wydawało jej się wtedy bardzo smutne.

Idąc po schodach postanowiła spytać lokaja, czy otwarto salę balową ale szybko powstrzymała się, nie chcąc uchodzić za zbyt ciekawską.

Lokaj zapukał do dobrze znanych Shendzie drzwi ochmistrzyni, a kiedy usłyszeli serdeczne „Proszę!”, wprowadził Shendę do środka.

Na widok Shendy siedząca przy oknie pani Davison uśmiechnęła się radośnie.

- Panienko Shendo! - wykrzyknęła. - Właśnie przed chwilą myślałam o paniencie. Zastanawiałam się, co też panienka będzie teraz robiła?

- O tym właśnie chciałam z panią pomówić - odparła Shenda.

- Tak bardzo mi przykro! - westchnęła pani Davison podsuwając jej jeden z wygodnych foteli.

- Zdaję sobie sprawę, jak się musi panienka czuć po śmierci swojej matki, niech Bóg ma ją w swojej opiece, i ojca, którego wszyscy kochaliśmy.

- Nowy pastor przyjeżdża za kilka dni - powiedziała Shenda.

- Tak szybko?! - zdziwiła się ochmistrzyni. - To sprawa nowego zarządcy. Wkoło wszystkich pogania. Człowiek nie ma czasu nawet na chwilę wytchnienia.

- Widzę, że już zatrudnił nowego lokaja - zauważyła Shenda.

- Żeby tylko jednego! Czterech! A wszystkich trzeba wyszkolić, co się wcale Batesowi nie uśmiecha, ręczę paniencie - wyjaśniła z uśmiechem pani Davison. - Wracają stare dobre czasy, panienko, zamek będzie znów stał otworem dla gości. Uwierzy panienka, już w ten piątek przyjeżdża towarzystwo aż z Londynu! Dwanaście osób!

- Razem z nowym hrabią? - spytała Shenda nagle zdając sobie sprawę, jak bardzo pragnie go zobaczyć.

Przypomniał jej się wreszcie cel owej wizyty i znów zagadnęła ochmistrzynię:

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, pani Davison. Chciałabym wiedzieć, co pani o nim myśli.

- Pomysł? - ucieszyła się ochmistrzyni. - Jeśli jest tak dobry, jak te, które podsuwała mi twoja matka, to na pewno nie można wymyślić nic lepszego.

- To bardzo miło z pani strony - podziękowała Shenda. - Musi jednak pani wiedzieć, że nie mam ani pieniędzy, ani dachu nad głową.

Ochmistrzyni popatrzyła na nią z przerażeniem.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć! A krewni?

- Znam tylko brata ojca, który mieszka w Gloucestershire, ale jestem pewna, że mnie nie zechce, nie mówiąc już o Rufusie! - to mówiąc przeciągnęła dłonią po miękkim futerku leżącego u jej stóp psa.

Rufus przydreptał za nią aż do pokoju pani Davison. Przez cały czas był bardzo grzeczny. Shenda nauczyła go, jak należy się zachowywać, kiedy jest się gościem w czyimś domu.

- Nie słyszałam nic bardziej przerażającego - odezwała się ochmistrzyni. - A jaki jest ten panienki pomysł?

- Pomyślałam, że... że to byłoby cudowne, gdybym mogła pracować w zamku jako szwaczka - powiedziała jednym tchem. - Mama opowiadała mi, że dawno temu, kiedy jeszcze przyjaźniły się z księżną, na zamku była szwaczka.

- Rzeczywiście była - potwierdziła pani Davison. - Kiedy umarła, miała osiemdziesiątkę na karku i była na wpół ślepa. Nie zatrudniłam na jej miejsce nikogo. „Wszystkie pokoje są pozamykane - myślałam. - A to, co zostało do roboty, mogę zrobić sama”. Ale teraz czasy się zmieniły.

- Nie przyjęła pani jeszcze nikogo nowego, nieprawdaż? - niecierpliwiła się Shenda.

- Myślałam o tym. Naprawdę o tym myślałam, kiedy mi powiedziano, że za trzy dni przyjedzie aż dwanaścioro gości. A jeszcze na dodatek panie zabiorą pokojówki, a panowie swoich garderobianych. I niech mnie kule biją, jeśli nie zostawią po sobie kupy podartych prześcieradeł i poszewek bez guzików - ochmistrzyni ledwo złapała oddech przy ostatnich słowach.

- Mogę zająć się tymi wszystkimi rzeczami. Zaszyję wszystko, o co mnie pani poprosi - wykrzyknęła radośnie Shenda.

- Jesteś przecież damą, Shendo! Powinnaś bawić się na dole razem z gośćmi pana hrabiego.

Zaręczam ci, żaden z nich nie będzie tak uroczy jak ty.

- Dziękuję za ciepłe słowa, pani Davison - powiedziała rozbawiona - byłabym jedynie damą - oberwańcem wśród nich, bez odpowiedniego stroju i pieniędzy, aby go kupić.

Po chwili dodała już poważniejszym głosem:

- Proszę, niech mi pani pozwoli zostać, pani Davison. Byłabym ogromnie nieszczęśliwa z dala od wioski i wszystkich ludzi, których znam... Gdybym tylko mogła tu pozostać, czułabym się jak w domu... Jego lordowskiej mości i tak wszystko jedno, kto mu reperuje pościel, staruszka, która umarła, czy ja.

- To prawda - przyznała ochmistrzyni. - Nie sędzę, żeby pan Marlowe, nowy zarządca, wtrącał się do spraw utrzymania domu.

- Zatem mogę zostać? Czy mogę zostać, pani Davison?

- Oczywiście, że tak... Jeśli to właśnie panienkę uszczęśliwi - zgodziła się ochmistrzyni. - Posiłki będziemy jadały razem. Pokój szwaczki znajduje się na najwyższym piętrze - powiedziawszy to, zamyśliła się przez chwilę, po czym dodała:

- Nie, zrobimy inaczej. Chcę cię mieć przy sobie. Dwa pokoje dla pokojówek stoją zupełnie puste. Zamienimy je na szwalnię i sypialnię. Wtedy, krótko mówiąc, będę pewna, że panience nic nie brakuje.

- Pani jest taka bardzo, bardzo kochana! - wykrzyknęła Shenda ze łzami w oczach. - Myślałam, że nikt mnie nie zechce i będę musiała sobie pójść.

- Nie zechce? Też coś, potrzebuję twojej pomocy, to szczerza prawda! - oznajmiła pani Davison. - I tak zamierzałam poinformować jego lordowską mość, że sama nie dam wszystkiemu rady.

- Niech mu pani przekaże, że właśnie znalazła się pomoc - cieszyła się Shenda. - Jak cudownie będzie tutaj mieszkać, rozmawiać z panią o rodzicach i nie czuć się opuszczoną przez wszystkich, których kocham - dodała ścierając z policzka łzy.

- Niechże już się panienka nie zamartwia - pocieszała ją pani Davison. - Zaraz urządzimy sobie miłą pogawędkę przy herbacie i powie mi panienka, co zamierza zabrać ze sobą do zamku.

- Farmer Johnson był dla mnie bardzo miły. Zaofiarował się przechować dla mnie wszystkie moje rzeczy, ale wspaniale byłoby mieć je przy sobie. Być może znajdzie się trochę miejsca na strychu?

- Trochę miejsca? - oburzyła się pani Davison. - W tym zamku jest wystarczająco miejsca, żeby przechowywać meble z tuzina domów i sama panienka o tym dobrze wie. Niechże więc panienka trzyma swoje rzeczy przy sobie i korzysta z nich, kiedy tylko chce.

- Jak cudownie! Czy teraz, kiedy nie ma jeszcze tyle pracy, będę mogła sobie uszyć nową suknię? Nie mogłam sobie na taką pozwolić już od wielu lat. Nie chcę przynosić pani wstydu!

Poczciwa ochmistrzyni uśmiechnęła się.

- Jesteś zupełnie taka jak twoja matka, Shendo. Najpiękniejsza dama, jaką tylko moje oczy oglądały. A to jak Boga kocham, święta prawda.

- Nic nigdy nie uradowało mnie bardziej niż pani słowa - odparła Shenda z wdzięcznością. - Dziękuję, dziękuję pani - ucałowała starą ochmistrzynię z całej siły.

- Już dobrze... Wszystko jest ustalone. Stary Bates na pewno się ucieszy, wiedząc, że panienka jest bezpieczna i nic jej nie brakuje. Oprócz nas nie ma potrzeby, aby inni wiedzieli, kim panienka jest naprawdę.

Shenda posłała jej pytające spojrzenie.

- Nowa służba mogłaby czuć się skrępowana wiedząc, że będąc damą, pracujesz razem z nimi - wyjaśniła pani Davison.

- Rozumiem... - pokiwała głową Shenda. - Będę zachowywać się bardzo dyskretnie.

- Najlepiej trzymaj się od nich z daleka, po prostu ich unikaj - poradziła ochmistrzyni. - Dostaniesz własny pokój, a posiłki będziemy jadały razem. To moja sprawa, czy będę jeść ze wszystkimi czy sama, i nie widzę powodu, żeby ktoś miał się wtrącać.

- Jeśli musi pani jadać ze służbą, chętnie zadowolę się tylko własnym towarzystwem przy stole - odparła Shenda.

Wiedziała, że kiedy na zamku był komplet służby, co ważniejsi służący jadali w tak zwanej jadalni ochmistrzyni, natomiast ci niżsi rangą w jadalni dla służby.

- Zostaw to wszystko mnie - zarządziła pani Davison. - Wiem, co słuszne i czego pragnęłaby twoja zmarła matka. Nie pozwolę, abyś zadawała się z tymi, którzy nie będą traktować cię, jak należy.

Mówiła tak stanowczo, że Shenda porzuciła myśl o dalszej sprzeczce. Jeszcze raz podziękowała pani Davison za własne i Rufusa ocalenie, a serce jej wołało z radości:

Dziękuję, dziękuję mamusiu! Wiem, że to był twój pomysł. Teraz jestem bezpieczna!



### Rozdział 3

Hrabia wprost nie mógł się doczekać swego pierwszego przyjęcia na zamku. Perry doradził, że wypadałoby zaprosić wszystkich dawnych znajomych oraz wszystkie zniewalające piękności, w których akurat w tym czasie są zadurzeni.

Pocziwy Perry był na tyle podekscytowany powrotem hrabiego, że stawiał sobie za punkt honoru, aby ten po tylu latach na morzu, bawił się w Londynie jak najlepiej.

- Musisz zapomnieć o wojnie, chłopie! - mówił. - Każdemu zbiera się na wymioty, kiedy znów o niej słyszy. Księżę Walii nadaje tempo zabawiając się rozrzutnie.

Przez moment hrabia pomyślał o cierpieniach brytyjskiej floty, która zmuszona jest miesiąc za miesiącem blokować francuskie porty albo wypierać okręty wroga z Morza Śródziemnego aż do Indii Zachodnich nie oddając ani jednej salwy. Marynarze przyzwyczaili się do wegetowania na skąpych racjach sucharów i mięsa, które smakowało tak, jakby leżało w soli od lat.

Liczyło się tylko trzymanie ręki na pulsie francuskiej ambicji dążącej do podbicia Anglii i pokonanie Napoleona.

- Zapomnij o tym, przynajmniej na razie - powiedział stanowczo Perry, jakby zdawał sobie sprawę, o czym rozmyśla przyjaciel. - Tak długo zaprzątałeś sobie głowę Bonapartem, że zaczynasz wyglądać tak jak on.

To rozśmieszyło hrabiego i zaczął wreszcie przysłuchiwać się z uwagą planom rozrywek, które przygotował dla niego Perry.

Pierwszy był zupełnie prosty: Perry przedstawił go jednej z najbardziej ponętnych kobiet, jakie kiedykolwiek widział. Już w momencie, kiedy spojrzał w jej pełne wyrazu, ciemne oczy, wszystkie myśli o wojnie zeszły na drugi plan.

Lucille Gratton była żoną o wiele starszego od siebie właściciela ziemskiego, który miał zaniedbaną posiadłość w

Irlandii. Ponieważ odkąd opuściła szkolne mury, uważano ją za nieziemską piękność, oczekiwała, że każdy napotkany mężczyzna padnie do jej stóp. Miała kilku kochanków podczas częstych wyjazdów jej męża na Wyspę Szmaragdową, ale szybko się nimi znudziła. Właśnie szukała mężczyzny, który różniłby się od pozostałych, kiedy Perry przedstawił jej hrabiego.

Dla mężczyzny, który pozbawiony był widoku kobiety przez długie miesiące, Lucille wydawała się rewelacją i, ku wielkiemu zadowoleniu Perry'ego, hrabia był nią oczarowany.

Pierwszego dnia zjedli kolację razem ze wszystkimi, a drugiego, już tylko we dwoje, w domu lady Gratton. Wracając wczesnym świtem do domu, hrabia pomyślał z satysfakcją że jego sztuka kochania nie poniosła żadnego uszczerbku pomimo tylu lat spędzonych na morzu. Nigdy przedtem nie spotkał kobiety, która byłaby bardziej zmysłowa, ognista i nienasycona. Zaproszenie do zamku przyjęła z radością. Wiedział, że jej obecność rozrusza całe towarzystwo, a o to mu właśnie chodziło, byłby to dobry początek dla jego nowej pozycji społecznej.

Swoje wymagania dotyczące przyjęcia gości przesłał przez swojego starego sekretarza, który służył jeszcze jego ojcu. Perry pomógł mu przygotować plan rozmieszczenia sypialni, zaznaczając, że pokoje zakochanych powinny być jak najbliżej siebie.

- Czy to normalna procedura? - zapytał hrabia.

- Zapewniam cię, tak postępują we wszystkich najlepszych domach - wyjaśnił Perry. - Na miłość boską, Durwin, chyba jesteś już na tyle dorosły, żeby znać życie!

Obaj zaśmiali się, ale hrabiemu wydało się to dziwne, że *affaires de coeur* ((z franc.) *affaire de coeur* - romans.) mogły mieć miejsce tak jawnie. Za czasów jego matki było zupełnie

inaczej. Był jednak przygotowany, by działać spontanicznie, ponieważ tak brzmiała jedna ze wskazówek lorda Barhama.

Przeglądając listę gości, był pewien, że nie ma wśród nich szpiega. Być może jakieś niebacznie wypowiedziane słówko wskaże mu właściwy kierunek działania i będzie mógł dopełnić swojej misji. Perry zaprosił dwóch właścicieli ziemskich, których hrabia wcześniej poznał i polubił: markiza, przyszłego spadkobiercę wielkiego księstwa, i pracującego w admiralicji baroneta. To w sumie, razem z Perrym i hrabią, dawało sześciu mężczyznom.

Oprócz Lucille zaproszonych było pięć nie znanych mu dam. A była to, jak mu powiedziano, sama *creme de la creme* ((z franc.) *creme de la creme* - śmietanka.) piękności ozdabiających Carlton House.

Hrabia był pewien, że zamek będzie przygotowany zgodnie z jego życzeniem. Cieszył się, że pracują jeszcze niektórzy z dawnej służby; kamerdyner Bates, którego pamiętał z dzieciństwa i pani Davison - zawsze gotowa, aby przemycać do jego pokoju czekoladowe ciastka i słodycze, kiedy zamykano go za karę. Wielu niestety albo umarło, albo za lepsze wynagrodzenie zatrudniło się gdzie indziej.

Dowiedziawszy się, że majątek jest bez nadzoru, zaraz po powrocie do Anglii zatrudnił nowego nadzorcę. Mężczyznę o nazwisku Marlow polecił mu admirał, z którym podróżował do Londynu z Portsmouth. Posłał po niego natychmiast po przyjeździe na Berkeley Square, a że wydał mu się kompetentny, wysłał go do zamku, aby zajął się wszystkimi niecierpiącymi zwłoki sprawami.

W ciągu ostatnich lat swojego życia jego ojciec cały czas chorował, nie wydając zbyt wiele na utrzymanie zamku. Dlatego w banku ulokowana była znaczna suma pieniędzy, którą hrabia mógł przekazać na ulepszenia.

Najpierw muszę odwiedzić farmerów - powiedział do siebie czytając pierwszy raport swego nowego zarządcy. - Jestem pewien, że pamiętam jeszcze niektórych z nich... I oczywiście, trzeba się upewnić, czy starsi mają odpowiednią opiekę.

Jadąc wraz z Perrym do zamku powozem zaprzężonym w kupione poprzedniego dnia konie, zdawał sobie sprawę, że póki przyjęcie się nie skończy, nie będzie miał czasu na inne sprawy.

W domu przy Berkeley Square także czekało na niego mnóstwo roboty. Dom stał zamknięty od czasu choroby ojca, służbę zwolniono, a niektórym wypłacono duże emerytury.

Jedynym człowiekiem, którego pamiętał, był stary kamerdyner.

Hrabia przyzwyczajony był do dowodzenia. Już nieraz w życiu zmuszony był rozbroić okręt w rekordowo szybkim czasie. W porównaniu z tym zarządzanie domem było dziecinnie łatwe.

Obecnie najważniejszą rzeczą było kupno nowych ubrań. Nigdy nie miał zbyt wiele cywilnej odzieży, a ta stara albo się zużyła, albo po prostu z niej wyrósł po latach spędzonych na morzu. Jednak w ciągu czterdziestu godzin po przyjeździe do Londynu udało mu się skompletować wszystko, więc mógł wyjść z domu jako elegancki młody człowiek. Wszystko to dzięki krawcowi Westonowi, u którego zamówił całą garderobę.

Czwartego dnia po powrocie pojechał do admiralicji.

Radził sobie z nowymi końmi z dawną zręcznością. To był właściwie pierwszy moment radości i odprężenia, odkąd postawił stopę na angielskim brzegu.

- Cieszę się, że polubiłeś Lucille - powiedział Perry. - Zawsze uważałem ją za najpiękniejszą z pięknych i o wiele inteligentniejszą niż większość z nich.

Hrabia usiłował sobie przypomnieć jakąkolwiek inteligentną pogawędkę z Lucille. Prawdę mówiąc przedmiotem ich rozmowy był ciągle jeden i ten sam temat, dlatego właśnie pozostawił komentarz Perry'ego bez odpowiedzi.

Perry obrzucił go przelotnym spojrzeniem z uśmiechem człowieka, który zna się na rzeczy. Potem zaczął rozwodzić się nad historią każdego z gości i gdy w takiej atmosferze przejechali prawie dwie mile, hrabia wykrzyknął:

- Czy ktoś w Londynie kiedykolwiek pomyślał o wojnie?

- Ależ londyńczycy robią wszystko, aby o niej nie myśleć! - oczy Perry'ego potwierdzały prawdziwość tych słów.

- A niech to wszyscy diabli! Ta wojna zbyt długo się ciągnie, możemy się tylko modlić, że jakimś cudem pokonamy Napoleona prędzej, niż się spodziewamy.

Przecież to niemożliwe - pomyślał w duchu.

Nie wierzył, że wypełniając misję lorda Barhama uda mu się choć w najmniejszym stopniu przyczynić do klęski Francji. Dlatego prędzej czy później musi znaleźć sobie coś lepszego do roboty niż romansowanie z pięknymi kobietami i zabawianie się z Perrym. Oczywiście wszystkie te rozważania zachował dla siebie.

Musiał teraz odgrywać rolę beztroskiego młodzieńca, którego jedynym celem w życiu jest pogoń za rozrywką.

Kiedy ujrzał zarysy zamku, przez jego ciało przeszedł dreszcz radości. Czuł się wspaniale jako właściciel tej cudownej posiadłości. Przez te wszystkie lata na morzu nigdy nie przeszło mu przez głowę, że George zginie, a on zamiast niego stanie się jedenastym hrabią Arrow.

Stanowczo postanowił kontynuować chlubne tradycje swego rodu. George'a przygotowywano do tego od czasów chłopięcych, podczas gdy on miał zająć podrzędne miejsce nie

mające w hierarchii rodzinnej zbyt wielkiego znaczenia. Przypomniawszy sobie, jak wówczas, gdy miał objąć dowództwo nad nowym okrętem w stopniu porucznika, poprosił ojca o trochę więcej pieniędzy. Ten jednak odmówił mu wyjaśniając, że wszystko, cokolwiek zdoła zaoszczędzić, musi później przekazać George'owi.

- George zajmie moje miejsce jako głowa rodziny - mówił poważnie stary hrabia - a jeśli jego dziedzictwo będzie roztrwonione, nie będzie mógł z godnością piastować swego stanowiska ani też dać należytej opieki tym, którzy będą od niego zależni.

Ciężko mu było wtedy zrozumieć sens tych słów, lecz teraz jako następny hrabia Arrow wiedział, że czeka go wiele spraw, które będą wymagać nie tylko jego czasu, ale również sakiewki. Dlatego musi być uczciwy i nie dawać jednym krewnym więcej niż innym.

Jak mógł się spodziewać, jeszcze przed wyjazdem z Londynu, znane damy figlarnie wypytywały go, kiedy zamierza się ożenić.

- Mam jeszcze dużo czasu - odpowiedział rezolutnie lady Holland, jedynej, która się z nim zgodziła.

- Racja - powiedziała - nie śpiesz się, a kiedy znajdziesz panią swego serca, upewnij się, że będzie ona nie tylko ozdobą twego łoża, stołu i rodzinnych klejnotów, ale również dobrą matką dla twoich dzieci.

Jej rada zadziwiająco różniła się od opinii dam mających córki na wydaniu. Uważały bowiem, że hrabina Arrow musi mieć przede wszystkim błękitną krew.

Młode dziewczęta, które spotkał do tej pory, wydały mu się nieśmiałe i bez ogłady, dlatego łatwo mu było stanowczo oświadczać, że na razie nie ma zamiaru się żenić i być może rozważy ten problem, kiedy skończy się wojna.

Oczywiście Perry doradzał mu, aby wystrzegał się co ambitniejszych matek.

- Nie zapominaj Durwinie - mówił - że jesteś obecnie o wiele lepszą partią niż wówczas, kiedy byłeś marynarzem.

- Obiecuję ci, że nie dam się tak łatwo złapać, nawet jeśli przynęta będzie nad wyraz pociągająca - hrabia roześmiał się.

- Nie bądź taki mądry! - ostrzegał Perry. - Nie takich zuchów znałem, których zaciągnięto do ołtarza, zanim zdali sobie sprawę, co się z nimi dzieje.

- Masz mnie za głupca? - odburknął hrabia. - A nawet, kiedy się ożenię, nie mam zamiaru od rana do wieczora słuchać pustej gadaniny kobiety, której jedyną zaletą jest tytuł jej ojca.

- Właśnie tytuł czyni cię dla niektórych tak atrakcyjnym kandydatem na męża - odpowiedział ironicznie Perry.

- Skoro tak jutro wracam do marynarki. Francuzi przerażają mnie mniej niż niektóre matrony poznane w tym tygodniu.

Kiedy do zamku było już niedaleko, hrabia po - - wrócił myślą do lat chłopięcych. Jako dziecko uwielbiał bawić się w starej wieży i biegać po sali balowej. W pokoju dzieciennym musiał być koń na biegunach, przynajmniej do czasu, kiedy był już na tyle duży, aby przesiąść się na własnego kucyka. Nigdy nie zapomniał tego dreszczyku emocji, który czuł przeskakując przez pierwszy w życiu żywopłot, a moment złowienia w strumieniu pierwszego pstrąga pamiętał tak dokładnie, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj.

- Muszę przyznać, że zamek naprawdę wygląda wspaniale! - wykrzyknął Perry przerywając jego zadumę. - Z pewnością lada moment ujrzymy pędzący na powitanie spory oddział rycerzy w kolczugach.

- Będę okropnie zły, jeśli nie będzie to oddział odpowiednio odzianych lokajów - odparł hrabia.

Ponieważ na Batesa zawsze można było liczyć, powitanie mieli iście królewskie. Do gabinetu zaraz podano butelkę dobrze schłodzonego szampana i paszteciki na wypadek, gdyby byli głodni po długiej podróży.

- Wyjechaliśmy późno, dlatego zjedliśmy lunch po drodze - poinformował Batesa hrabia.

- Tak też myślałem, wasza lordowska mość, ale posiłki w przydrożnych zajazdach nie są zbyt apetyczne.

- Masz zupełną rację - przytaknął mu hrabia. - Na przyszłość będę zabierał w podróż swoją żywność.

- Bardzo słuszna decyzja, proszę pana - odpowiedział kamerdyner. - Tak właśnie czynił jego lordowska mość, pański ojciec.

- Mając przy sobie Batesa, trudno mi będzie zrobić cokolwiek innego niż mój ojciec, jego ojciec i nawet ojciec tego ostatniego i w rzeczywistości. .. niż całe pokolenie hrabiów Arrow włącznie z tym pierwszym - zażartował hrabia, kiedy znów zostali sami.

- Zauważ, że ma to swoje dobre strony - głos Perry'ego zabrzmiał troszeczkę oficjalnie. - Zapomniano zbyt wiele narodowych tradycji i obyczajów. Ludzie za wszystko winią wojnę, ja jednak śmiem twierdzić, że to oni stali się nieodpowiedzialni i niedbali.

Hrabia przynajmniej tego nie mógł sobie zarzucić. Obiecywał sobie, że będzie zarządzać zamkiem, tak jak swoim statkiem, z taką skrupulatnością i sprawnością, w których nie sposób znaleźć błędu.

Oprowadził Perry'ego po zamku. Nie tylko chciał go pokazać przyjacielowi, ale również sam chciał go zobaczyć. Już zapomniał, jak wspaniale wyglądają sale balowe. Z mebli ściągnięto właśnie pokrowce, a świeżo wyczyszczone i wypolerowane okna połyskiwały w słońcu jak diamenty. Wszystko wkoło prezentowało się tak okazale, jak za czasów



jego dzieciństwa. Pokazał Perry'emu galerię, salę balową, kaplicę i sypialnie nazwane imionami królów i królowych, którzy w nich spali.

Kiedy z powrotem znaleźli się w gabinecie hrabiego, strudzony Perry rzucił się na fotel oświadczając:

- Cóż, jesteś cholernie szczęśliwym facetem, to wszystko, co mogę na razie powiedzieć.

- Tyle rzeczy trzeba jeszcze zrobić - odparł skromnie hrabia. - Muszę powiedzieć Marlowowi, żeby jak najszybciej sprowadził mi odpowiednich stolarzy i malarzy.

- Moim zdaniem, wszystko wygląda wspaniale - powiedział Perry. - A tak a propos, jak tam twoje stajnie?

- Tutaj właśnie twoja pomoc będzie niezbędna - oświadczył hrabia. - Hmm... Tuzin koni kupiliśmy w Tattersall's, już powinny tu być... Będę jednak potrzebował o wiele więcej.

- Chyba pamiętasz, że masz stałą lożę na wyścigach w Newmarket?

- Zupełnie bym o niej zapomniał, gdyby nie książę. Sam widzisz, muszę mieć konie wyścigowe i to najlepsze!

- Oczywiście, że tak! A cóż by innego! - pokpiwał sobie Perry.

Hrabia pozostawił tę żartobliwą uwagę bez odpowiedzi. Podszedł do okna i spojrzął na ogród cały czas rozmyślając, jakie spotkało go szczęście, jakie niewiarygodne szczęście... Powziął mocne postanowienie, że zanim zakupi konie wyścigowe, dopilnuje, aby zamek i posiadłość miały odpowiednią opiekę i aby jak najszybciej poczyniono wszystkie zaległe naprawy. Marlow sporządził wstępną listę spraw nie cierpiących zwłoki, która przeraziła hrabiego. Pomieszczenia dla biedaków i domki emerytów były w opłakanym stanie, nie było szkoły, a co najważniejsze, powracający z wojny mężczyźni nie mogli znaleźć pracy.

- Tak wiele trzeba jeszcze zrobić... - wyszeptał do siebie hrabia.

To postanowienie podniosło go na duchu - pod żadnym pozorem nie będzie próżnym, chociaż dopiero co powrócił z ciężkiej służby, aby odpocząć.

Długą ciszę, która zawładnęła pokojem, przerwał Bates oświadczając:

- Właśnie przybyli pierwsi goście waszej lordowskiej mości. Przyjąłem ich w niebieskim salonie.

- A któż to taki? - odezwał się zaciekawiony Perry, zanim hrabia zdążył otworzyć usta.

- Lady Evelyn Ashby i lady Gratton wraz z dwiema paniami.

Spojrząwszy badawczo na przyjaciela, Perry wykrzyknął entuzjastycznie:

- Lucille!

Ten zaś ani myślał tracić czas na jakakolwiek odpowiedź. Natychmiast wybiegł z gabinetu, aby jak najszybciej dostać się do salonu i do Lucille.

Tymczasem w pokoiku na górze, Shenda siedziała zaintrygowana wrzawą i poruszeniem, które , ogarnęły cały zamek, ponieważ hrabia wydawał przyjęcie.

- Wszystko będzie tak jak dawniej - powtarzała bez końca pani Davison.

Pokazała Shendzie listę pokoi, które mają zajmować goście.

- Lady Evelyn Ashby zajmie pokój króla Karola II - wyjaśniła - drugiej damie przydzielę pokój królowej Anny, trzecią umieścimy w pokoju księżnej Northumbii, a lady Gratton dostanie się pokój królowej Elżbiety. To jest bowiem dama, którą jego lordowska mość najbardziej faworyzuje.

- Skąd pani wie? - spytała zaciekawiona Shenda.

- Kilka lat temu, kiedy żył jeszcze stary hrabia, mojej siostrzenicy udało się zatrudnić w domu przy Berkeley Square - pani Davison uśmiechnęła się znacząco. - Bardzo jej się tam spodobało i była ogromnie niepokieszona, kiedy w końcu dom został zamknięty.

Shenda przytaknęła głową na znak, że rozumie, a pani Davison ciągnęła dalej:

- Usłyszawszy o powrocie jego lordowskiej mości szybko pobiegła, aby spytać, czy przypadkiem nie potrzeba kogoś na służbę, a ponieważ pochodzi z naszej wsi, przyjęto ją natychmiast.

- Miała szczęście - przerwała jej Shenda.

- Wyobraź sobie, wczoraj dostałam od niej list. Píše, jaki czarujący jest młody pan hrabia i jak jedna z najpiękniejszych dam w Anglii już posiadała jego serce i łóżko!

- Sądzi pani, że on się z nią ożeni? - zapytała Shenda.

- Nic podobnego, panienko! - odparła ochmistrzyni. - Z relacji mojej siostrzenicy wiem, że lady Gratton jest mężatką. Jej mąż podobno jest gdzieś za granicą wraz ze swoim pułkiem.

Po takim wyjaśnieniu Shenda wyglądała na zażenowaną. Zdawszy sobie sprawę, że popełniła błąd, pani Davison szybko starała się złagodzić swoją poprzednią wypowiedź:

- Wiesz panienko, te wielkie damy z Londynu zawsze się dobrze bawią, nawet jeśli ich mężowie są z dala od domu. Nawet moja matka zwykła mawiać, że nie warto nosić duszy na rękawie, aby wszyscy mogli z niej czytać, tak jak z książki.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Shenda jednocześnie zastanawiając się, po co mieć męża, jeśli się ma ochotę chodzić na przyjęcia samemu i zabawiać się na wsi razem z hrabiami.

Na pewno jest wiele rzeczy, które owe damy gotowe byłyby uczynić, aby wesprzeć armię i marynarkę -

usprawiedliwiała je w duchu. - To wielki błąd być taką krytyczną wobec innych - zganiała się.

W zamku była taka szczęśliwa. Wciąż jednak powracała myślą do rannych żołnierzy ze wsi, choć byli już daleko od śmiercionośnych macek wojny. Współczuła również tym wszystkim rodzinom, których synowie walczyli w armii lub w marynarce. Pamiętała, że jej ojciec zawsze miał bardzo życzliwy stosunek do ludzi. Matka często chodziła do wsi i ze współczuciem wysłuchiwała płaczów i lamentów kobiet, które nie miały żadnej wiadomości o swych synach od miesięcy. Jeśli zatonął statek, bardzo długo nie było wiadomo, czy ktokolwiek z załogi ocalał.

Ciekawe, czy hrabia tęskni za morzem? - pomyślała, kiedy powróciła do swego pokoju.

Zacząła naprawiać koronkę w pościeli, która rozdarła się przy praniu. Przez głowę przelatywały jej niesłychane historie o męstwie i odwadze hrabiego, krążące po wsi, zanim przyjechał do zamku.

Kiedy tylko kobiety szły na zakupy do rzeźnika, piekarza lub gdziekolwiek indziej, zbierały się przy ladzie i rozprawały o wojnie i o najnowszych wieściach.

Prędzej czy później dotarły one i do Shendy, głównie przez Martę, która odwiedzała ją rano i od innych napotkanych podczas dnia ludzi.

Nigdy panienka nie uwierzy... - zaczynali zwykle swoją opowieść.

Choć hrabstwo Arrow zdawało się być tak daleko od Francji, ustne relacje najświeższych wydarzeń nic nie traciły na aktualności. Wszyscy prześcigali się dopowiadając coś nowego.

Shenda nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek widziała hrabiego, chociaż instynktownie czuła, że musiała go widzieć w dzieciństwie. Wyobrażała go sobie jako wysokiego

i przystojnego mężczyznę. W zamku było wystarczająco wiele portretów przodków, aby zdać sobie sprawę, że rodzinne podobieństwo przekazywane jest z pokolenia na pokolenie. Właśnie rodzinna galeria wywarła na niej największe wrażenie, odkąd się tu pojawiła. Można tam było podziwiać nie tylko portrety przodków, ale również prawdziwe dzieła sztuki wykonane przez wielkich artystów, skwapliwie kolekcjonowane przez całe pokolenia Bowów łącznie z tym pierwszym. Shendę oczarowało piękno tych pochodzących z Włoch, ale szczególnie upodobała sobie jednego Fragonarda i Bauchera z Francji.

Portrety rodzinne wisiały przy schodach, wzdłuż korytarzy i w większości sypialni. Zdawało się, że obserwują wszystko, co się dzieje w zamku, i na pewno sam hrabia odczuwał przenikliwość ich wzroku.

Shenda nie pochwałała tego hucznego przyjęcia. Hrabia powinien był przedtem dokonać dokładnych oględzin majątku i spotkać się z ludźmi, którzy z nim pracowali. Farmerzy już od dawna czekali z listą rzeczy nie cierpiących zwłoki na jego wizytę.

Hrabia zawsze może im odmówić tłumacząc się wojną, ale przynajmniej mógłby naprawić dachy i pomóc w zakupie nowej trzody. Tak wiele trzeba jeszcze zrobić - rozmyślała kończąc naprawę następnej koronki.

A zrobiła to po mistrzowsku - nie można było odróżnić, w którym miejscu była przedarta. Z ciężkim westchnieniem powiedziała sobie wreszcie, że nie do niej należy rozmyślanie o takich sprawach. Hrabia nie może się dowiedzieć o jej obecności w zamku i to powinno być dla niej najważniejsze. Miała bowiem niepokojące przeczucie, że na pewno nie spodobałoby mu się, że córka pastora jest jedną z jego służących. Drżała na samą myśl o nagłym odejściu i trudnych poszukiwaniach innego kawałka chleba.

- Jesteśmy tu tacy szczęśliwi - szeptała Rufusowi na ucho. Stanowczo postanowiła unikać spotkania z hrabią, dopóki ten znów nie wróci do Londynu. W ten sposób zawsze będzie miała ogród i las tylko dla siebie.

Rufus zaczął się niecierpliwie wiercić, zerkając na duży, ścienny zegar. Trzeba go wziąć na spacer, zanim przyjedzie hrabia. Wiedziała, że Bates oczekiwał jego lordowskiej mości wczesnym popołudniem. Dlatego wraz z Rufusem pośpiesznie zbiegła ze schodów i otworzyła drzwi prowadzące prosto do ogrodu.

Od kiedy było wiadomo, że hrabia powrócił z marynarki, ogrodnicy pracowali bez wytchnienia, aby uczynić ogród jeszcze piękniejszym niż dawniej. A ponieważ pogoda dopisywała, drzewa i krzewy rozkwitły w całej okazałości. Grządki zapełniły się wiosennymi kwiatami, a trawa była zielona jak stół bilardowy. Shenda podążyła sekretną ścieżką wzdłuż żywopłotu, która wiodła do kaskady. Ten zakątek kochała nade wszystko. Potrafiła godzinami obserwować rozpryskującą się o skały wodę. Różowe, żółte i białe skalne rośliny urozmaicały szarość kamieni i niewątpliwie dodawały kaskadzie wyjątkowego uroku. W kamiennej wannie u jej stóp znów pływały złote rybki, leniwie omijając liście lilii wodnych.

Niektóre kwiaty miały jeszcze pąki, ale widać było, że niedługo rozkwitną.

- Jakież prześliczne miejsce, jakież prześliczne! - wykrzyknęła oczarowana, a potem pośpiesznie zaczęła szeptać słowa modlitwy, aby nigdy nie musiała stąd odejść i aby hrabia nie odkrył jej obecności. Nagle zdała sobie sprawę, że rozmyśla o poznanym w lesie mężczyźnie, który uwolnił Rufusa z sideł. Pocałował ją po raz pierwszy w życiu, a jej do tej pory wydawało się to tylko snem. Jak mogła pozwolić pocałować się w usta osobie zupełnie nieznanemu. Jedynym

wyjaśnieniem, jakie jej przyszło do głowy, było to, że Rufus znalazł się w niemałych tarapatach, i że nigdy przedtem nie spotkała kogoś takiego jak jego wybawca.

- To było złe, ale cudowne! - wyszeptała do siebie.

Spostrzegła, że już zbyt długo przebywa w ogrodzie, więc pośpiesznie udała się z powrotem do zamku.

- Właśnie przyjechali goście jego lordowskiej mości! - wykrzyknęła pani Davison wbiegając do pokoju, gdzie siedziała znów zajęta szyciem Shenda.

- Czy panie wyglądają bardzo pięknie? - spytała ochmistrzynię.

- Pewnie, że tak! - odparła tamta. - Mają na sobie stroje uszyte według najnowszej mody, a gdyby ich czepki były troszeczkę wyższe, dotknęłyby niebios!

To rozbawiło Shendę.

Odkąd przybyła do zamku, spostrzegła, że pani Davison często zaczytywała się w „Magazynie dla Dam”, dlatego właśnie uważała londyńskie piękności za interesujące i zabawne istoty.

Na kartach magazynu pełno było karykatur ludzi z wielkiego świata. Shenda zastanawiała się, czy wielkie damy, panowie Rodandson i Cruikshank, i oczywiście księżę Walii nie mają nic przeciwko temu, że wyglądają na nich tak głupio. Jedne z nich przedstawiały kobiety z towarzystwa groteskowo grube albo chude jak szczapy, inne znów wyśmiewały modę na przezroczyste suknie i wielkie, przedekorowane czepki. Niektóre karykatury w sposób bardzo obraźliwy przedstawiały tych, którzy bezpodstawnie chełpili się swoją pozycją społeczną.

- To wielki wstyd tak kpić z ludzi, nic innego! - mówiła pani Davison. - Ale mimo wszystko trudno stłumić śmiech, kiedy się ogląda takie rzeczy.

Ponieważ wiedziała, że takie obrazki mogą rozbawić Shendę, pokazała jej, gdzie można je znaleźć w zamkowej bibliotece.

- Świętej pamięci pan hrabia po raz pierwszy zamówił je wiele lat temu - poinformowała Shendę. - Odkąd tylko pokazały się w sklepie przy St James, każdy numer przysyłano do zamku.

- Musiały go bardzo bawić - zauważyła Shenda.

- I to jak! Przychodziły nawet wtedy, kiedy się rozchorował, bo nikt nie odważył się odwołać za - mówienia, i tak przychodzą aż do dziś.

Rzeczywiście, przeglądając karykatury, wiele nauczyła się o tzw. bon ton, choć zdawała sobie sprawę, że często są okrutnie wyolbrzymione. Dostęp do książek również sprawiał jej ogromną radość, choć miała przy sobie wszystkie książki swego ojca.

Zamkowa biblioteka była ogromna. Kiedy stary hrabia był już zbyt słaby, aby samemu powiększać zbiory, zatrudnił bibliotekarza, przykazując mu kupowanie wszystkich książek godnych uwagi, które się ostatnio ukazały. Zabierając pół tuzina książek na raz, Shenda czuła się, jakby jej dano klucze do nieba. Gdy tylko kończyła swoją pracę, potrafiła czytać bez końca. Odkrywała wtedy nowy świat, kontynuując skończoną wraz ze śmiercią ojca edukację.

Jako dziecko uczona była przez swego ojca i starą guwernantkę, mieszkającą w jednym z wiejskich domków. Bardzo chciała się uczyć. Zdawała sobie sprawę, że wiedza jest tak ogromna, a w ciągu dnia tak mało czasu, aby ją zgłębić. To było częścią jej świata marzeń, którego granice przekraczała wchodząc do lasu. Każda przeczytana w zamku książka coraz bardziej uświadamiała jej, jak wiele tajników wiedzy musi jeszcze poznać.



- Czeka mnie o wiele więcej pracy, niż przypuszczałam - oznajmiła ze smutkiem pani Davison.

- Co się stało? - spytała Shenda.

- Lady Gratton przyjechała bez swojej pokojówki! Biedna mała. Mówią, że miała wypadek tuż przed wyjazdem z Londynu - westchnęła. Potrzebuję nowych rąk do pracy, bo Rosie będzie musiała zająć się jaśnie panią... A jeśli wiem cokolwiek o tych damach z towarzystwa, to one chcą, aby im usługiwano dwadzieścia cztery godziny na dobę!

To powiedziawszy zmartwiona wypadła z pokoju zostawiając Shendę samą.

Shenda popatrzyła za nią tęsknym wzrokiem. To byłby wielki błąd, gdyby próbowała zobaczyć wszystkie te kobiety, które zaprosił hrabia. Musi trzymać się na uboczu i pogodzić z myślą, że nigdy nie zobaczy zarówno ich, jak i hrabiego.

- Muszę być bardzo, bardzo ostrożna - upominała się.

Dźwięk jej głosu obudził Rufusa, który wstał i położył łapki na jej kolanach.

- Muszę być bardzo ostrożna - powiedziała do psa. - I to samo dotyczy ciebie! Jeśli będziesz czekał, a pan hrabia to usłyszy, na pewno powie, że nie chce trzymać w domu obcych psów. Wtedy zabiorą cię do stajni i basta!

Sama myśl o tym wydała jej się straszna, dlatego złapała Rufusa w ramiona i mocno przycisnęła do siebie.

- Mogą przecież odprawić i mnie - wyszeptała całując go w czubek łebka - a do tego nie wolno nam dopuścić. Podoba mi się tutaj. Jesteś zawsze najedzony, ja też nie odczuwam głodu... Dlatego musimy być bardzo grzeczni i bardzo, bardzo ostrożni.

## Rozdział 4

Hrabia siedział przy stole w wielkiej jadalni zagłębiony we wspomnieniach z czasów dzieciństwa. Przypomniawszy sobie, jak wymykał się na schody i podglądał przez rzeźbione poręcze przyjęcia wyprawiane przez swoich rodziców. Siedząc na honorowym miejscu, na krześle ozdobionym rodowymi herbami, ojciec wyglądał jak król.

Ozdobiona połyskującym diademem i naszyjnikiem z diamentów, matka przychodziła do jego sypialni, zanim zasnął, i całowała go na dobranoc.

- Wyglądasz mammo jak księżniczka z bajki - powiedział jej kiedyś, a ona się roześmiała.

Potrafiła godzinami trzymać go w ramionach. Kiedy umarła, uświadomił sobie, że nigdy nie zapomni jej delikatności i słodyczy. Nie ma i nie będzie więcej kobiety takiej jak ona, choć Lucille i inne zaproszone damy były bez wyjątku najpiękniejszymi istotami, jakie kiedykolwiek mógł sobie wyobrazić. Blondynka, brunetka czy ta o ognistych włosach - każda z nich miała w sobie zniewalające piękno, któremu żaden mężczyzna nie mógł się oprzeć.

A już szczególnie taki, który tak długo pływał po morzu - pomyślał zawiadaczając się.

W czasie rozejmu 1802 roku nie mógł powrócić do kraju jak inni oficerowie. Po pierwsze jego statek miał rozkaz pozostania gdzieś na Morzu Śródziemnym. Po drugie, kiedy już wreszcie dostał przepustkę, chciał zobaczyć tę część świata, która była nie podbita i nie naruszona przez Napoleona. Zwiedził więc Egipt, Konstantynopol, a Grecją był po prostu oczarowany. Nie żałował, że nie był w domu przez tak długi czas. Spostrzegł, jak wielkie możliwości otwierały przed każdym te kraje i ich mieszkańcy.

Kiedy wreszcie nadarzyła się szansa powrotu do Anglii, Napoleon wypowiedział wojnę i hrabia został powołany pod dowództwo Nelsona.

Trudno było uwierzyć, patrząc na wciąż zmieniające się dania i na wino z piwnicy ojca, którym co chwila napełniano kielichy, że gdzieś daleko toczy się wojna.

Rozmowy z pięknymi damami, jak można było się spodziewać, były nieco dwuznaczne. Ich oczy i usta mówiły więcej niż słowa.

- Co będziemy robili jutro? - spytała zalotnie Lucille Gratton, siadając po jego prawicy. Jej zmysłowe spojrzenie już dawało do zrozumienia, co będą robić dziś wieczór.

- Chciałbym ci pokazać moją posiadłość - odparł hrabia. - Sam zresztą muszę wiele zobaczyć. Ciekawe, czy w ogrodzie jest jeszcze mała altanka w stylu greckiej świątyni, a na skraju lasu wieża strażnicza. Moja matka uwielbiała urządzać pod nią pikniki.

- Pokażesz mi je na pewno - wyszeptała ciepło Lucille. - I oczywiście pójdziemy tam tylko we dwoje.

Hrabia zastanowił się, czy czasem taka wyprawa nie będzie zbyt rzuciła się w oczy. Poza tym miał zamiar wraz z Perrym odwiedzić stajnię. To oczywiście trzeba będzie uczynić, zanim panie po porannej toalecie wyjdą na salony.

Postanowił zasugerować tę wizytę po śniadaniu, w którym, z pewnością, uczestniczyć będzie tylko męska część towarzystwa.

Jednak tuż po obiedzie Lucille nie musiała kusić go zalotnie: „Nie każ mi czekać zbyt długo, kochany... Wiesz dobrze, jak bardzo pragnę być z tobą”. Sam również tego chciał.

W saloniku przy jadalni właśnie przygotowywano stoły do gry w karty. Nie dało się jednak ukryć, że większość towarzystwa rozpaczliwie głowiła się, jak by tu jak

najszybciej wymknąć się na spoczynek. Panie, oczywiście, wiodły w tym prym. Panowie trochę dłużej wałęsali się po pokojach, czekając na swoją ostatnią szklanekę whisky. Wtedy właśnie Perry zagadnął do hrabiego:

- Tak jak się spodziewałem, jesteś wspaniałym gospodarzem! Nigdy jeszcze nie jadłem tak wybornego obiadu.

- Ja również! - wtrącił jeden z gości.

- Jutro czeka was wiele niespodzianek - oznajmił rozpromieniony hrabia. - Ale są one bardziej zasługą Perry'ego niż moją.

- Cóż, wystarczy tylko dostarczyć mi odpowiednie składniki, a zawsze przygotuję wspaniały posiłek! - pochwalił się Perry.

Na te słowa całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem i żartując, powoli udało się na spoczynek do komnat na piętrze. Wreszcie hrabia zakończył zabawę, życząc gościom dobrej nocy, po czym udał się do swojej garderoby.

Przebrawszy się, nie mógł się doczekać, kiedy jego własny lokaj skończy wieczorne obowiązki. Wystarczył krok z jego pokoju, aby znaleźć się w komnacie królowej Elżbiety.

Lucille czekała z niecierpliwością. Schwyciła go w ramiona i przywarła do jego ust. Przez moment wydała mu się jak tygrysica łapczywie rzucająca się na swoją ofiarę.

To bohater, nikt inny! Gdyby naród wiedział, ile dobrego zrobił nasz pan hrabia, wystawiono by mu pomnik, słowo daję! - w taki oto sposób pani Davison zakończyła swoją relację ze wszystkich wyczynów hrabiego, o których rozповідаł na dole jego własny lokaj.

Shendę zafascynowała szczególnie jedna historia, kiedy angielskie statki dzielnie opierały się tuzinowi francuskich. Hrabia przedostał się do portu w zdobytej wcześniej

francuskiej fregacie i zanim Francuzi się zorientowali, wysadził ich dwa najlepsze statki.

- Pokojowiec jego lordowskiej mości opowiedział - ciągnęła pani Davison - jak to kapitan, bo pan hrabia był już wtedy kapitanem, szukał ochotników na tę niebezpieczną wyprawę. Każdy mężczyzna na statku chciał wziąć w niej udział, choć dał im jasno do zrozumienia, że mogą nie wrócić z niej żywi.

- Przecież nie mógł zabrać wszystkich - wtrąciła Shenda.

- Pewnie, że nie. Wybrał piętnastu z tych, którzy służyli u niego najdłużej. Wyruszyli o północy, kiedy Francuzi smacznie spali.

- I wysadził dwa okręty wojenne! - wykrzyknęła podekscytowana Shenda.

- Dwa największe! - poprawiła ją pani Davison. - Zanim Francuzi zdali sobie sprawę, co się dzieje, nasi bohaterowie odплыnęli, mając tylko dwoje rannych i uszkodzony maszt.

Oczywiście, że później wszystkie takie historie krążyły po zamku, bo trudno było mówić o czymkolwiek innym.

Muszę go zobaczyć - powiedziała sobie Shenda.

Jednocześnie obawiała się, że hrabia ją zwolni, nie chcąc zatrudniać, jak to wyraziła się pani Davison „szwaczki szlacheckiego pochodzenia”. A wtedy na pewno pękłoby jej serce.

Muszę być ostrożna - powtórzyła sobie to samo, co ostatniej nocy szeptała Rufusowi.

Dopiero kiedy całe towarzystwo wybrało się po j wczesnym lunchu na przejażdżkę, odważyła się wejść do ogrodu. Trzymała się wiodących do lasu cienistych krzewów. Tam pozwoliła Rufusowi pobiegać. Las przy zamku nie wydał jej się tak czarodziejski jak ten blisko plebanii. Miał jednak również swój specyficzny urok, który przynosił Shendę do świata marzeń.

Po dwugodzinnym spacerze pośpiesznie wróciła do zamku w obawie, że ktoś z gości wrócił już z eskapady.

Jak się później przekonała, jej przewidywania sprawdziły się. Goście pojechali wzdłuż czarownej drogi przez park, później skręcili do lasu i dalej już jechali prosto aż na samo wzgórze, gdzie stała wieża strażnicza.

Wzniósł ją sam sir Justin Bow, który zbudowawszy zamek, nagle zapragnął jakiegoś miejsca, aby patrzeć na morze. Historia głosiła, że zawsze na wieży czuwali dwaj strażnicy, żeby najazd Duńczyków na ich ziemię już się nie powtórzył,

Shenda bardzo często na nią wchodziła. Myślała wtedy, że sir Justin Bow musiał mieć sokoli wzrok, albo jakiś na te czasy rodzaj teleskopu. Bowiem tylko w najbardziej pogodny z dni można było dojrzeć w oddali smugę światła - morze.

Wieża strażnicza była nietypowa sama w sobie. Shenda nie mogła sobie wyobrazić owych pięknych dam wspinających się w eleganckich sukniach po krętych kamiennych schodach.

Na pewno się pobrudzą - pomyślała z uśmiechem. - Chyba że panowie pośpieszą im z pomocą. .. Mogą też pozostać w pomieszczeniu dla strażników, gdzie, jak głosiła legenda, sir Justin trzymał łuczników gotowych na każde jego skinienie ruszyć do walki.

Razem z Rufusem dotarli do zamku i przez drzwi ogrodowe weszli na schody, których raczej nikt nie używał. Ledwo co weszła do szwalni, kiedy wbiegła za nią zadyszana pani Davison.

- Aaa... tutaj jesteś panienko!... - wykrzyknęła. - Mam dla ciebie poważne zajęcie.

- Cóż to takiego? - spytała zaciekawiona Shenda.

W odpowiedzi pani Davison wyjęła prześliczną damską torebkę z atlasu, obrębianą drobnymi rzędami koronki.

- Należy do lady Gratton - powiedziała po chwili - a ta niezdarna Rosie, nie uwierzysz, zahaczyła koronką o róg szuflady.

Shenda dokładnie obejrzała rozdarcie.

- To tylko mała dziurka - oznajmiła. - Tak ją naprawię, że jaśnie pani nawet nie zauważy jakiegokolwiek zmiany.

- Z tymi pokojówkami zawsze jest ten sam kłopot - westchnęła pani Davison. - Wszystko robią w wielkim pędzie, żeby jak najszybciej zlecieć na dół do lokai. Oto, co się za tym wszystkim kryje!

- Cóż, każdemu to się mogło zdarzyć - powiedziała Shenda. - Proszę powiedzieć Rosie, aby się nie martwiła. Może jeszcze coś wymaga naprawy? Nie mam teraz specjalnie wiele do roboty.

- Zatem zabierz się za swoją suknię - przykazała pani Davison. - Zaopatrzyłam panienkę w odpowiedni materiał i im szybciej ją w tej sukni zobaczę, tym lepiej.

- Właściwie, to już ją skończyłam - odparła Shenda. - Proszę spojrzeć. Co pani o niej myśli?

- Nie do wiary! Stara Maggie nie uszyłaby szybciej lepszej sukienki!

- Założę ją dziś wieczorem i przyjdę się pani pokazać - zaproponowała Shenda. - Prawdę mówiąc, jestem z niej bardzo dumna.

- Prawdę mówiąc - wtrąciła pani Davison - mam już materiał na następną.

- Jest pani dla mnie zbyt dobra! - wykrzyknęła wzruszona Shenda. - Zapłacę za wszystko, jak tylko dostanę moje pierwsze wynagrodzenie.

- Wykluczone! - zaprotestowała ochmistrzyni. - Ten materiał leżał w kredensie od lat. Nawet nie pamiętam, po co go kupiliśmy. Pewnie jaśnie pani chciała go do czegoś użyć.

To powiedziawszy spojrzała na zegarek i wykrzyknęła z przerażeniem;

- Goście pewnie już są w drodze, a ja nie sprawdziłam, czy sypialnie są należycie uporządkowane. Tym młodym pokojówkom nie można ufać. Nic nie robią, jak należy, i w tym cały kłopot! - dodała i po chwili już jej nie było.

Shendę rozbawiły skargi ochmistrzyni. Wiedziała, że przez wiele lat pani Davison miała do pomocy tylko trzy stare pokojówki, które pracowały tak pilnie jak ona sama. Większość nowych pokojówek pochodziła z pobliskiej wsi, a zarządzanie nimi sprawiało pani Davison prawdziwą przyjemność. Wszystkie były podekscytowane służbą na zamku. Pokrzykiwania pani Davison przyjmowały jako coś związanego z ich pozycją, która niewątpliwie podnosiła ich wartość w oczach wieśniaków.

Siedząc przy oknie, Shenda oglądała rozdartą torebkę. Powiedziano jej, że lady Gratton na wieczornym obiedzie miała na sobie suknię ze szmaragdowozielonej gazy. Zdaniem pani Davison, halka pod suknią była tak przezroczysta, że równie dobrze mogłoby jej wcale nie być. Pani Davison nie przepadała za lady Gratton, ponieważ ta przysparzała jej dodatkowych kłopotów. O wiele bardziej wolała dwie pozostałe damy. Choć nigdy o tym nie wspomniała, Shenda domyśliła się bez trudu, że jej zdaniem - bez względu na swą urodę - lady Gratton nie zasługuje na hrabiego. Hrabia bowiem zajmował w sercu poczciwej ochmistrzyni iście boską pozycję. Jedynie sama królowa, albo jakaś bogini stanowiłaby, w jej przekonaniu, dla niego odpowiednią partię.

Torebeczka z zielonego atłasu była w tym samym kolorze co owa skrytykowana przez panią Davison suknia. Ręcznie robiona koronka, którą była obszyta, wyglądała na bardzo kosztowną. Shendzie udało się znaleźć do jej reperacji



odpowiednią nitkę. Rozsuwając wstążki, dzięki którym można było nosić torebkę na ramieniu, poczuła, że nie jest pusta.

Zaczęła ostrożnie opróżniać jej zawartość: delikatne chusteczki z przepięknie wyhaftowanymi inicjałami lady Gratton, małe pudełeczko z balsamem do ust i trochę większe, przypominające tabakierkę, w którym jaśnie pani trzymała puder.

Przyglądała się temu wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem, podziwiając elegancję, z jaką lady Gratton przechowywała swoje kosmetyki. Na jednym z pudełek była wysadzana diamentami klamra, na drugim widniała duża litera „L”, cała z szafirów.

To pewnie prezenty od jej męża - pomyślała.

Kiedy włożyła rękę do środka, żeby usztywnić torebkę przy naprawie, poczuła jeszcze jedną maleńką rzecz. Była to kartka papieru, którą natychmiast wyjęła, aby przez nieuwagę jej nie podrzeć. Rozwinęła ją z ciekawości, zapominając, że może to być coś poufnego. Ku wielkiemu swojemu zaskoczeniu ujrzała kilka słów nakreślonych po francusku zdecydowaną ręką:

Ou se trouve le groupe de l'Expedition Secrete? - 500 pounds. Pour decourvir l'eplacement de Nelson - 100 pounds ((z franc.) Ou se... - Gdzie znajduje się oddział Tajnej Ekspedycji - 500 funtów. Za miejsce pobytu Nelsona - 100 funtów.).

Czytała je i czytała bez końca, podejrzewając, że to wina jej bogatej wyobraźni. Jednak nie dało się ukryć - kartka, na którą się natknęła, to zlecenie jakiegoś francuskiego szpiega dla lady Gratton, a ona przecież jest tak bardzo spoufalcona z hrabią. Jeśli ktokolwiek zna odpowiedź na te pytania - to właśnie on!

Jeszcze raz dokładnie przeczytała kartkę, po czym położyła ją obok chusteczek i zajęła się reperacją koronki. Nie

zabrało to jej wiele czasu. Skończywszy, włożyła wszystko z powrotem do torebki. Była już zdecydowana - choć z bólem serca, musi ostrzec hrabiego.

Szybko podeszła do biurka, które postawiła dla niej pani Davison, i starając się naśladować charakter pisma, przepisała dokładnie wiadomość z kartki. Wkładając ją z powrotem do torebki, przestraszyła się na samą myśl o spotkaniu z hrabią. Miała przecież go unikać w obawie, by jej nie zwolnił ze służby. Jednak obowiązek poinformowania go, że ma wśród gości francuskiego szpiega, przewyciężył strach.

Cała trudność polegała na tym, jak się z nim spotkać sam na sam, aby nie zwrócić uwagi służby. Większość uważała ją za zwykłą szwaczkę. Myśli gorączkowo przelatowały jej przez głowę. Wreszcie doszła do wniosku, że jedyną osobą, której może zaufać, jest Bates. Stary kamerdyner przyjaźnił się z jej rodzicami.

Oglądając naprawioną torebkę, pani Davison wykrzyknęła:

- Wspaniale panienko! Gdybym nie wiedziała, że była rozdarta, nigdy bym nawet o tym nie pomyślała!

- Cieszę się, że jest pani zadowolona - odparła skromnie Shenda.

- Rosie będzie w siódmym niebie! Ostrzegłam ją, że jak będzie nadal taką niezdara, pošlę ją z powrotem do wsi.

- Nie mogłaby pani być tak okrutna, pani Davison - zaprotestowała Shenda - przecież zna pani jej matkę. Dla całej jej rodziny to ogromne szczęście, że Rosie jest pod pani opieką. Inaczej musiałaby szukać służby w Londynie i nie daj Bóg, mogłaby wpaść w jakieś tarapaty.

- Jeżeli o mnie chodzi - uspokajała ją pani Davison - dbam o moje dziewczęta.

- Oczywiście - zgodziła się Shenda. - Mama zawsze powtarzała, jak dobrze jest wszystkim pokojówkom pod pani

opieką. Służba w zamku to najlepsza szkoła życia dla młodej pracownicy.

- Cóż, robię, co mogę - odparła skromnie pani Davison i uśmiechając się pod nosem wyszła zabierając torebkę ze sobą.

Shenda zerknęła na zegar. Do tej pory goście na pewno już wrócili i wypiwszy herbatę, odpoczywają w sypialniach przed obiadem. Szybko więc popędziła do piwnicy z nadzieją, że znajdzie tam Batesa.

Miała szczęście. Bates wyjmował właśnie z rodowego skarbcza srebrne ozdoby stołowe. Był z nich bardzo dumny. Nikomu nie mógłby powierzyć pieczy nad nimi. Co wieczór owijał każdą w zielony ryps i starannie odkładał na swoje miejsce. Właśnie wyjmował wspaniały, srebrny kosz, zaprojektowany przez samego Paula Lamenca, kiedy wbiegła Shenda.

- Patrz i podziwiał, panienko! - wykrzyknął. - Nie wyjmowałem go od trzech lat, miło pomyśleć, że wreszcie opuszcza mroki skarbcza.

Mówił o srebrnym koszu, jakby obdarzony był ludzkimi uczuciami.

- Nikt nie potrafiłby tak o niego zadbać jak pan - przyznała Shenda.

Słowa te pochlebily staremu kamerdynerowi. Uśmiechnął się i zaciekawiony jej nagłą wizytą zapytał:

- Czy w czymkolwiek mógłbym być panience pomocnym?

- Widzi pan, muszę porozmawiać z panem hrabią na osobności. To bardzo ważne - odpowiedziała Shenda.

Bates zdjął zielony fartuch z rypsu i założył swoją liberię.

- Proszę za mną, panienko - powiedział. - Jeśli się nie mylę, jego lordowska mość właśnie przegląda pocztę w swoim gabinecie.

Przeszli przez długi korytarz, jadalnię i kilka innych komnat. W holu stało na służbie czterech lokajów. Na widok Batesa wyprostowali się jak struny i popatrzyli przed siebie zgodnie z wcześniejszymi wskazówkami starego kamerdynera.

Szeroki korytarz po drugiej stronie prowadził do komnaty Rubensa i do wielkiej biblioteki, która zajmowała tyle miejsca co trzy zwykłe komnaty.

Dotarli do gabinetu hrabiego. Bates zatrzymał się przed nim, nasłuchując, czy nie dochodzą zza drzwi jakieś głosy rozmowy. Skinął ręką by się na chwilę oddaliła. Dzięki temu nikt jej nie zauważy, gdyby przez przypadek hrabia nie był sam. Wreszcie stanowczo zapukał i otworzył drzwi.

- Jego lordowska mość raczy wybaczyć moje nagłe wtargnięcie. Czy zechciałby pan przyjąć kogoś, kto uprzejmie prosi o chwilę rozmowy w bardzo ważnej sprawie?

- Niech wejdzie... - odparł hrabia podnosząc głowę znad listu. - Kto to jest?

Rozmyślnie unikając odpowiedzi, Bates wprowadził do pokoju Shendę i zniknął za drzwiami.

Weszła powoli z podniesioną głową. Czuła, jak bardzo się denerwuje. Oto po raz pierwszy w życiu miała ujrzeć hrabiego, chociaż już tyle o nim słyszała.

Hrabia właśnie kończył pisanie. Podniósł głowę dopiero, kiedy podeszła do biurka.

Na jego widok wydała okrzyk zdziwienia.

- To pan?! - wyszeptała bez namysłu.

Spoglądał bowiem na nią mężczyzna, który uratował Rufusa i który zanim odjechał, pocałował ją po raz pierwszy w życiu.

Była zupełnie zaskoczona po tym, jak powtarzano jej bez końca, że hrabia dopiero teraz pojawił się w zamku po raz pierwszy od swego powrotu. Nigdy nie przeszło jej nawet

przez głowę, że to właśnie on odwiózł ją do domu na swym koniu.

Przez moment oboje patrzyli na siebie. Hrabia pierwszy otrząsnął się z wrażenia.

- Cóż pani tu robi? - zapytał powoli wstając zza biurka.

Znów wpatrywali się w siebie, jak gdyby każdemu ciężko było wyrzec słowo. Wreszcie ledwie słyszalny głos Shendy przerwał pełną napięcia ciszę;

- Musiałam zobaczyć waszą lordowską mość.. To bardzo ważne!

- Nie wiedziała pani, kim jestem? - zapytał.

- Nie miałam pojęcia.

- Proponuję więc - odrzekł zażenowany, wskazując na sofę przy kominku - proponuję, aby pani spoczęła i wyjaśniła mi, jakąż to pilna sprawa sprowadza ją do zamku.

Shenda nie miała na głowie czepka. Wydawało mu się, że wygląda dokładnie tak samo jak wtedy w lesie. Odkąd usiadła, nie podnosiła głowy. Czuł, że jest onieśmielona.

- Mam nadzieję, że Rufus doszedł do siebie po tym ciężkim przejściu w lesie? - zapytał, chcąc rozładować jej skrepowanie.

- Tak, dziękuję. Wszystko jest w porządku - odparła. - Zdaje sobie jednak sprawę, że... to były pańskie sidła, a ja kazałam je panu wyrzucić.

- Rzeczywiście, założono je zgodnie ze wskazówkami mojego zarządcy - wyjaśnił. - Ale proszę się nie martwić, nigdy więcej nie będzie żadnych sideł ani w Rycerskim Lesie, ani w lesie koło zamku. Wydałem odpowiednie polecenia.

- Dziękuję... dziękuję panu bardzo! - wykrzyknęła. - Jest pan cudowny. Martwiłam się, że Rufus mógłby wpaść w następną pułapkę.

- Piesek pani jest już zupełnie bezpieczny, za to ręczę.

Zobaczył wdzięczność w jej oczach, wdzięczność, jakiej nigdy jeszcze nie widział.

- A teraz, czy mógłbym się wreszcie dowiedzieć, dlaczego chciała się pani koniecznie spotkać z właścicielem zamku? - z trudnością zmusił się, aby mówić do rzeczy.

Shenda wciągnęła głęboki oddech. Teraz, kiedy wiedziała, kim jest hrabia, o wiele ciężiej jej było wyjawić swoje odkrycie.

Kto naraża na niebezpieczeństwo życie brytyjskich żołnierzy i marynarzy, musi być powstrzymany - powiedziała sobie w duchu. - Bez względu na to, kim jest.

W milczeniu podała hrabiemu kawałek papieru, na którym przepisała kartkę znaną w torebce lady Gratton. Przyjął ją niedbale wpatrzony w jej twarz. Zdawała mu się o wiele piękniejsza niż owego pamiętnego dnia w lesie.

Wreszcie zerknął na zawartość kartki i nagle spoważniał. Przeczytał ją jeszcze raz i jeszcze raz, a potem zapytał pełnym niepokoju głosem:

- Skąd pani to ma?!

- Przepisałam z kartki znalezionej w damskiej torebce - powiedziała bez wahania.

- Damskiej torebce? - powtórzył. - Gdzie pani znalazła torebkę o takiej zawartości?

- Tutaj, w zamku - wyszeptała pod nosem.

- Tutaj?! Cóż pani tutaj robi? Zapanowała głucha cisza, zanim pełna obaw zdecydowała się na ledwie słyszalną odpowiedź.

- Jestem nową szwaczką jego lordowskiej mości.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Kto cię zatrudnił i dlaczego? - zapytał z przejęciem.

- Stara szwaczka umarła trzy lata temu. Pani Davison nie przyjęła na jej miejsce nikogo, ale kiedy pan wrócił wraz z gośćmi uznała, że szwaczka jest niezbędna.

- A więc sama się zgłosiłaś?  
- Tak było, wasza lordowska mość.  
- A teraz najważniejsze, do której damy należy ta torebka?

Shenda znów wstrzymała oddech.

- Do... lady Gratton! - odparła jednym tchem widząc, jak hrabia zaciska usta.

- Nie wierzę! - wykrzyknął. - Jak to możliwe!

Zdała sobie sprawę, że te ostatnie słowa powiedział raczej do siebie niż do niej.

- Gdy tylko przeczytałam kartkę, natychmiast postanowiłam pokazać ją jego lordowskiej mości - dodała po chwili.

- Jak mogłaś ją zrozumieć? Tekst napisany jest po francusku.

- Znam francuski, wasza lordowska mość.

- Czy wiesz również czego ona dotyczy? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak.

- Cóż mam przez to rozumieć?!

- Słyszałam o... „Tajnej Ekspedycji” - odparła po chwili trochę przestraszona tonem jego głosu.

Hrabia spojrzał na nią, jak gdyby nie mógł w to uwierzyć.

- A więc słyszałaś o „Tajnej Ekspedycji”? - powtórzył ostro. - Można wiedzieć od kogo?

Wyglądał na tak zdziwionego, że Shendzie trudno było ukryć uśmiech.

- Syn doktora... wasza lordowska mość, wraz z innymi oficerami ze swojego regimentu został przydzielony do jednostki „Tajnej Ekspedycji”...

- Chyba śnię! - odparł łapiąc się za głowę. - „Ekspedycja” miała być okryta tajemnicą.

- Wiem... - przerwała mu - ale kiedy porucznik Doughty wrócił do domu... pochwalił się swojemu ojcu, do jakiej misji został wybrany... Doktor, oczywiście, powiedział o tym mojemu ojcu.

- Czy mam przez to rozumieć, że cała wieś mówi o „Ekspedycji”?!  
- Ależ nie... Niech się pan uspokoi... Doktor zaprzysiągł swojemu synowi trzymanie wszystkiego w tajemnicy - wyjaśniła. - A mój ojciec nigdy nie powtarzał niczego, co mu poufnie wyjawiano...

- Przypuszczam, że takie zapewnienie musi mi na razie wystarczyć - odrzekł z sarkazmem. - Pewnie znasz również odpowiedź na drugie pytanie?...

- Cóż, jeden z marynarzy admirała Nelsona jest mężem znajomej wieśniaczki. Właśnie wróciła do wsi, by na czas wojny mieszkać z rodzicami... Mąż pisze do niej specjalnym szyfrem. Wie, że musi być ostrożny...

- Czy napisał jej, gdzie jest obecnie admirał? - zapytał.  
Jego oszołomienie i dezorientacja zaczęły trochę bawić Shendę. Zamiast strachu w jej oczach pojawił się radosny błysk, a na policzku zawadiacki dołek, od którego hrabia nie mógł oderwać oczu.

- Ostatni list brzmiał, jak następuje - powiedziała z powagą - „Swędzi mnie lewa ręka. Jutro będę myślał o tym cieście, które twoja matka zawsze piecze na niedzielę”.

Hrabia pozostawił go bez komentarza, niecierpliwie czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Ponieważ ją kocha... - zaczęła Shenda - gdziekolwiek jest, zawsze patrzy w stronę Anglii. Jeśli „swędzi go lewa ręka”, to znaczy, że płyną na zachód, a „ciasto, które jej matka zawsze piecze na niedzielę”, to Madera.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknął rzucając się na fotel.



Schwycił kartkę, którą przyniosła Shenda, i wpatrywał się w nią przez dobre kilka minut. Wreszcie jego myśli ułożyły się w logiczną całość. Jeśli rzeczywiście ta kartka została znaleziona w torebce lady Gratton, to właśnie przed jej błagalnym wzrokiem i smakowitymi ustami ostrzegał go lord Barham.

Zatem lady Gratton bierze pieniądze za informacje, które wyciąga od swoich kochanków, i następnie przekazuje je Francuzom. Ktokolwiek udziela jej wskazówek, wie na pewno, kim jest hrabia. Właśnie wrócił do Anglii z Morza Śródziemnego, jest w stałym kontakcie z admiralicją. - Tylko on może znać odpowiedź na te pytania.

Przez moment ogarnęła go niepohamowana furia, że go oszukała. Chciał natychmiast wyrzucić Lucille Gratton z jej perfidią wykrzyczeć dokładnie słowo po słowie, co o niej naprawdę myśli. Później opamiętał się. Są sprawy o wiele ważniejsze niż osobista zemsta. Trzeba zdemaskować szpiega lub szpiegów, którzy kierowali Lucille i mieli bezpośredni kontakt z Napoleonem.

Siedział zamyślony przez kilka minut, chociaż Shendzie czas dłużył się okropnie.

- Przypuszczam, że lady Gratton o niczym nie wie? - zapytał wreszcie.

- Na pewno nie, wasza lordowska mość. Jej pokojówka rozdarła koronkę na torebce i pani Davison dała mi ją do naprawy.

- Zatem lady Gratton nigdy cię nie widziała?

- Nie.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, jestem twoim pracodawcą?

- Tak właśnie jest, wasza lordowska mość. Po tym krótkim przesłuchaniu hrabia popadł w zadumę. Shenda zastanawiała się, o czym też może myśleć.

- Shendo - odezwał się wreszcie - czy jesteś gotowa coś zrobić dla swego kraju? Muszę cię jednak ostrzec, że to może być niebezpieczne...

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Zrobię wszystko, proszę pana... by pomóc takim jak pan pokonać Napoleona i zakończyć tę straszną... złą... wojnę.

- Oczekiwałem takiej odpowiedzi - odparł zadowolony. - Chcę cię prosić, abyś w czasie pobytu lady Gratton w zamku była jej osobistą pokojówką.

Oczy Shendy zdawały się wypełniać całą twarz. Nigdy nie wyobrażała sobie, że ktoś ją poprosi o taką rzecz. Przez chwilę chciała natychmiast odmówić. Jej matka na pewno nie pochwaliłaby takiego postępu. Potem spytała siebie, co jest ważniejsze, czy to, że jest damą, o czym hrabia oczywiście nie wiedział; czy to, że powinna walczyć tak jak on dzielnie walczył z wrogiem, który akurat w tym momencie miał w rękach wszystkie atuty.

Wreszcie odezwała się z wysiłkiem, trochę wystraszona:

- Zrobię... wszystko, o co pan poprosi.

- Dziękuję - odparł. - Zamierzam być z tobą szczery, bo jesteś inteligentna, Shendo. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jaką nieocenioną wartość dla admiralicji mają przyniesione przez ciebie informacje.

- Tak też myślałam, proszę pana.

- Po pierwsze - oświadczył - musisz obiecać, że nikomu nie powtórzysz naszej rozmowy; ani w zamku, ani gdziekolwiek indziej.

- Obiecuję - odrzekła. - Nikt nawet nie wie o naszym spotkaniu. Oczywiście z wyjątkiem Batesa.

- Wspaniale! - pochwalił ją. - Teraz zamierzam poinformować panią Davison, że lady Gratton musi wyjątkowo dobrze się u nas czuć, dlatego chciałbym, abyś właśnie ty jej usługiwała.

- Ośmielam się stwierdzić, wasza lordowska mość, że pani Davison na pewno będzie bardzo zdziwiona, kiedy się dowie o naszym spotkaniu - odparła Shenda.

- Nie martw się - odpowiedź hrabiego była nadzwyczaj szybka. - Wszystko jej wyjaśnię w odpowiedni sposób. Opowiem, jak to po powrocie z Anglii zastałem w moim domu na Berkeley Square okropny bałagan - tu przerwał, sprawdzając, czy jego rozmówczyni pilnie słucha, po czym ciągnął dalej:

- Postanowiłem więc jak najszybciej zobaczyć zamek - na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech. - Nie widziałem go od czternastu lat. Bałem się, że wszystko okaże się tylko iluzją, że zastanę zapadający się dach i walące się mury...

- Potrafię to sobie wyobrazić - przytaknęła Shenda.

- Wstałem więc przed świtem - ciągnął dalej - wynająłem najlepszego konia, jakiego mogłem znaleźć, i popędziłem na nim, żeby choć z daleka zobaczyć mój zamek - tu westchnął głęboko. - Stał okazały i dostojny jak dawniej.

W oczach Shendy pojawiło się zrozumienie.

- Nie miałem zamiaru się z nikim spotykać ani pojawiać się w zamku bez zapowiedzi - uśmiechnął się do niej. - Możesz się domyślać, co się stało potem... Spotkałem w lesie cudowne dziewczę i mogłem się jej przysłużyć.

- Był pan bardzo uprzejmy... - wyszeptała. - Nigdy nie zapomnę, że uratował pan Rufusa... Nie przyszło mi do głowy, że wybawcą mojego pieska był sam... nowy pan hrabia!

- Wróciłem prosto do Londynu, nie mogąc uwierzyć, że widziałem cię naprawdę - przyznał się. - Może to tylko magia lasu...

Sposób, w jaki mówił, przyprawił Shendę o rumieńce. Powoli zawstydzona spuściła głowę.

- Oto znów się spotykamy - zmusił się, żeby te słowa zabrzmiały bardziej oficjalnie. - Teraz ja potrzebuję twojej

pomocy! Mówiono mi, że szpiegzy Napoleona są wszędzie, nawet i w moim zamku, choć trudno mi się z tym pogodzić...

Shenda wyczuła w jego głosie nutę tłumionej furii. Musimy oboje znaleźć tego szpiega nad szpiegami... Mężczyznę lub kobietę, który kontaktuje się bezpośrednio z Napoleonem i przekazuje wskazówki takim osobom jak lady Gratton.

- To nie będzie łatwe - wtrąciła półgłosem Shenda.

- Przyznaję, przegrałem pierwszą bitwę - odparł - ale z twoją pomocą, Shendo, wygram następną!

To mówiąc wstał i ujął jej dłoń. Przez moment zatrzymał wzrok na jej ustach, ale widząc jej zażenowanie, podniósł jej dłoń i pocałował.

- Dziękuję Shendo! - powiedział. - Bądź ostrożna, ci ludzie potrafią być bardzo niebezpieczni.

## Rozdział 5

Zaraz po wyjściu z gabinetu hrabiego Shenda pobiegła na dół z nadzieją napotkania pani Davison. Kiedy wreszcie znalazła ją w pokoju z pościelą, wszedł lokaj.

- Jego lordowska mość życzy sobie mówić z panią. Czeka w swoim gabinecie - zaanonsował.

- Już idę! - odparła ochmistrzyni przerywając układanie czystych poszewek.

Zanim podążyła za lokajem, Shenda schwyciła ją za ramię.

- Proszę posłuchać - szepnęła - właśnie widziałam się z hrabią... Niech pani się zgodzi na wszystko, o co panią w związku ze mną poprosi... Ale błagam, niech pani nie mówi, kim jestem.

Pani Davison popatrzyła na nią ze zdziwieniem i pobiegła za lokajem, by jego lordowska mość nie musiał długo czekać.

Shenda tymczasem poszła do swego pokoiku i usiadła zakrywając rękoma twarz. Nie wyobrażała sobie wcześniej, że coś takiego może się wydarzyć. Jej pozycja w zamku będzie od tej pory zagrożona, a wszystko przez lady Gratton!

Niech się dzieje co chce - pomyślała później. - Nie ma nic ważniejszego niż zdemaskowanie francuskich szpiegów.

- Chciał się pan ze mną widzieć? - powiedziała pani Davison wchodząc do gabinetu hrabiego. - Mam nadzieję, że wszystko jest wykonywane zgodnie z życzeniami jego lordowskiej mości.

- Dokonała pani cudów w bardzo krótkim czasie - odparł hrabia. - Nie mam żadnych powodów do narzekań - na moment przerwał, po czym ciągnął dalej:

- Chciałbym z panią pomówić o lady Gratton.

- Czy coś się stało?! - wykrzyknęła pani Davison.

- Nic takiego. Po prostu lady Gratton jest bardzo kapryśna i wymaga specjalnej opieki - wyjaśnił. - Na pewno słyszała pani o wypadku jej pokojówki.

Twarz pani Davison przybrała pochmurny wyraz. Biedna ochmistrzyni była pewna, że hrabia skarży się na złą obsługę swego gościa.

- A ponieważ Shenda jest doskonałą szwaczką, myślę, że będzie i doskonałą pokojówką dla lady Gratton przez te dwa ostatnie dni.

Nie sposób było nie zauważyć nagłego osłupienia na twarzy ochmistrzyni. Złożyła usta jakby za chwilę miała zaprotestować, po czym wysiliła się na potulną odpowiedź:

- Bardzo dobrze, proszę pana. Pomówię o tym z Shendą.

- Dziękuję pani - odparł biorąc do ręki pióro. Błędem byłoby powiedzieć cokolwiek więcej.

Rozumiejąc, że rozmowa dobiegła końca, pani Davison dygnęła i opuściła gabinet

Co to wszystko znaczy, panienko?! - zażądała wyjaśnień, kiedy znalazła Shendę w pokoju na górze. - Skąd pan hrabia wie, że jesteś w zamku? Shenda wstała i poprowadziła panią Davison do małej sofy przy oknie.

- Zna mnie pani od dziecka - powiedziała czułym głosem.

- Moja mama zawsze miło panią wspominała, a ojciec mówił, że odkąd pani jest na zamku, wszystko idzie jak należy.

Te słowa bardzo pochlebily pani Davison.

- Teraz proszę, aby mi pani uwierzyła... Mam poważny powód, dla którego chcę usługiwać lady Gratton, dlatego proszę, niech mi pani nie zadaje więcej pytań, na które nie mogę udzielić odpowiedzi.

- Nadal nic nie rozumiem! - protestowała pani Davison.

- Wiem - odparła Shenda. - Już niedługo wszystko pani wytłumaczę.

- Jeśli o mnie chodzi - oznajmiła pani Davison - nie powinnaś tego robić. Nie mam pojęcia, dlaczego hrabia zasugerował taką rzecz, jakby mało było innych pokojówek! Jedno wiem na pewno, jaśnie pani chce mieć kogoś do naprawy sukien bez ponoszenia żadnych kosztów, że się tak wyrażę.

Shenda pomyślała, że właśnie w taki sposób hrabia usiłował wyjaśnić pani Davison całą sprawę.

- Wie pani... - odezwała się - cieszę się, że mogę być użyteczna. Pan hrabia wcale nie uważa, że jestem za młoda do tej pracy. Nawet Rufusowi pozwolił przebywać w zamku.

- Oczywiście, oczywiście! - przyznała z ironią pani Davison.

- Proszę pilnować, aby nikt ze służby tego nie roznosił - prosiła Shenda całując ochmistrzynię w policzek. - Kiedy pan hrabia odjedzie, na pewno o mnie zapomni.

Pani Davison wyglądała na bardziej uspokojoną. Shenda była jednak świadoma, że musi dostarczyć hrabiemu następnych dowodów na szpiegostwo lady Gratton. W przeciwnym bowiem razie, hrabia po powrocie do Londynu na pewno o niej zapomni. Mimo wszystko, nikt jej nie odbierze tej cudownej chwili, kiedy po raz pierwszy ją pocałował.

Hrabia jednak nie zapomniał o Shendzie. Myślał o niej i o tym, co mu przekazała, przez cały czas aż do obiadu. Na dole w salonie zebrali się goście i kilku sąsiadów na przedobiednią pogawędkę. Upragniona niegdyś Lucille napawała go teraz wstrętem. Jak mógł kiedykolwiek pożądać kobietę z dłońmi splamionymi krwią żołnierzy, których życie gotowa była zaprzedać wrogowi za trochę więcej niż przysłowiowe trzydzieści srebrników.

Z wielką przyjemnością wysłałby ją na przesłuchanie do londyńskiej Tower. Jednak, aby wypełnić misję lorda Barhama, musiał odegrać najtrudniejszą rolę, jaką

kiedykolwiek przyszło mu odgrywać w życiu. O ileż łatwiej byłoby pokonać wroga w ferworze walki niż udawać wielkie uczucie do kobiety, która jest jadowita jak grzechotnik.

Lucille nie może nawet odczuć, że jego zapal ostygł, ponieważ zaczął ją podejrzewać. Gdyby do tego doszło, człowiek, który tak hojnie obdarowuje szpiegów napoleońskim złotem, mógłby stać się nieosiągalny.

Służba w marynarce nauczyła hrabiego kontroli nad sobą i swoimi uczuciami. Nie okazał strachu przed żadnym niebezpieczeństwem i teraz, w imię dobra Anglii, zrobi wszystko, aby Lucille nie poznała jego prawdziwych uczuć. Chociaż raz po raz obrzucała go ognistym spojrzeniem, szeptała słowa, które kiedyś rozpałały jego namiętności, w głębi duszy serdecznie jej nienawidził.

Przy obiedzie udało jej się przywłaszczyć go tylko dla siebie. W czasie gry w karty pełen sztucznego zauroczenia płacił wszystkie jej długi. W rzeczywistości przez cały ten czas myślał o szarych oczach Shendy. Były tak czyste i niewinne jak oczy dziecka. Przypomniawszy sobie dotyk jej delikatnych ust, kiedy ją całował.

Nie powinien pozwalać komuś tak ślicznemu i doskonałemu zadawać się z Lucille. Zdawał sobie sprawę, że lubieżność, z jaką się kochali, przeraziłaby Shendę. Nie wolno jej poznać otchłani deprawacji, jaka mieściła się w tej światowej kobiecie, która rzekomo była damą. Jeśli Shenda ma zostać pokojówką Lucille, na pewno zauważy zostawione w nieładzie łóżko i pogniecione poduszki. Mimo że jest czysta i niewinna, bez trudu domyśli się, co działo się w nocy. Postanowił więc ochraniać ją przed lady Gratton na tyle, na ile będzie mógł.

Siedząc przy Lucille w kącie salonu, szepnął jej niepostrzeżenie do ucha:

- Dziś wieczorem, w moim pokoju...



- W twoim pokoju? - zapytała zdziwiona.

- Rób, co mówię - odparł. - Później ci wyjaśnię...

W tym momencie przerwał mu jeden z gości, który chciał się pożegnać przed pójściem na spoczynek.

Kiedy Lucille, otulona w przezroczystą szatę i osnuta aurą ponętnych francuskich perfum, zapukała do jego pokoju, cieszył się, że oszczędzi Shendzie dowodu własnej zbrodni - łóżka Lucille.

Po jakimś czasie, kiedy oboje leżeli obok siebie, usatysfakcjonowana Lucille zapytała:

- Czy bardzo tęsknisz za morzem, mój cudowny Durwinie?

- Jeszcze jak - odparł. - Trudno jest przyzwycząć się do innego życia, gdy jest się tak starym jak ja.

- Nie można ci się oprzeć, kochanie! Nie znam żadnego młodego człowieka, który byłby tak namiętny... Nawet kiedy mnie kochasz, myślę, że wolałbyś unosić się na falach wraz z jakąś tajną ekspedycją...

Nastąpiła głęboka cisza.

- Jestem taki śpiący - odparł ziewając. - Myślę tylko o tym, że nie będę musiał zrywać się o jakiejś nieziemsko wczesnej godzinie.

Choć nic nie mówiła, był pewien, że głowi się, jak podjąć ten temat na nowo.

- Powiedz mi, mój bohaterze, co myślisz o admirale Nelsonie? - odezwała się po chwili. - Czy jest tak przystojny jak o nim mówią?

Cierpliwie czekała na odpowiedź. Może byłoby lepiej spytać, czy lord Nelson nie zabawia się właśnie z lady Hamilton? Wreszcie odwróciła się w stronę hrabiego, który ku jej zaskoczeniu pogrążony był we śnie.

Służba u lady Gratton była łatwiejsza, niż Shenda przypuszczała.

- Gdzie jest tamta stara pokojówka? - spytała Shendę, kiedy ta pomagała jej ubrać się do obiadu. - O ile dobrze pamiętam, nazywała się Rosie.

- Dokładnie tak, proszę pani. Niestety tego wieczoru nie czuje się dobrze i ochmistrzyni przykazała mi zająć jej miejsce.

Shenda miała na głowie czepek, jaki noszą wszystkie pokojówki. Naciągnęła go tak mocno, że falbanka prawie zasłoniła jej oczy.

- Cóż mam nadzieję, że wiesz, co do ciebie należy. Nie będę powtarzać niczego dwa razy!

- Oczywiście, w dodatku jestem na zamku szwaczką. Jeśli ma pani jakąś sukienkę do poprawy, chętnie się tym zajmę.

Lady Gratton natychmiast okazała zainteresowanie.

- Chciałam przypiąć halkę do sukni na dziś wieczór - oznajmiła. - Ale skoro już jesteś, możesz mi ją przyszyć.

- Oczywiście, proszę pani. Jutro naniosę poprawki, żeby wszystko leżało jak należy.

- Dobry pomysł - pochwaliła ją lady Gratton. - Mam jeszcze jedną suknię, która wymaga drobnych przeróbek.

Zanim poszła na obiad, zarzuciła Shendę kilkoma następnymi sukniami.

Żeby umilić sobie czas oczekiwania na powrót lady Gratton, Shenda przyniosła do jej sypialni jedną z książek wypożyczonych z biblioteki.

Lady Gratton wpadła do pokoju o pierwszej nad ranem, przerywając jej lekturę.

Nigdy nie wyobrażałam sobie, że koszula nocna może tak mało zakrywać - pomyślała o nocnej toalecie swej pani.

- To wszystko! - oznajmiła lady Gratton. - Możesz iść... Tylko pamiętaj, obudź mnie dopiero o dziesiątej, nie wcześniej!

- Tak, proszę pani.

- I nie zapomnij o moich sukienkach! - dodała.

- Na pewno nie zapomnę, proszę pani. Kiedy biegła na górę do swego pokoiku, przyszło jej na myśl, że lady Gratton wcale nie zamierza iść spać. I oczywiście ma do tego powód. Była zbyt zmęczona, żeby dłużej o tym myśleć. Zasnęła, gdy tylko jej głowa dotknęła poduszki.

Następnego ranka pomagała lady Gratton przy ubieraniu i tak przepięknie ułożyła jej włosy, że jaśnie pani była oczarowana.

Spodobały jej się również poprawione suknie.

- Ponieważ jutro wracam do Londynu - powiedziała podczas przygotowań do obiadu - zamierzam poprosić jego lordowską mość, żeby pozwolił mi cię zatrzymać, dopóki nie wydobrzeje moja dawna pokojówka. Mam w Londynie mnóstwo sukienek, które wymagają naprawy. Shenda chciała powiedzieć, że to niemożliwe. Postanowiła jednak zasięgnąć w tej sprawie opinii hrabiego.

- Jeśli pan hrabia wyrazi zgodę... - odparła z wahaniem - będę musiała zabrać ze sobą mojego pieska... Zawsze jest ze mną... Złamałabym mu serce porzucając go...

- Pies?! - wykrzyknęła lady Gratton, jak gdyby nigdy o takim zwierzęciu nie słyszała.

- No cóż... Jeśli obiecasz, że nie będzie z nim kłopotów, będę musiała przystać na taką propozycję.

- Z całego serca pani dziękuję.

Kiedy tylko jaśnie pani poszła na lunch, Shenda napisała do hrabiego krótką wiadomość:

Uprzejmie proszą o spotkanie z Waszą Lordowską Mością  
Shenda

Po czym zbiegła do spiżarni i wręczyła ją Batesowi. Wiedziała, że nie wolno pokojówkom chodzić po salonach. Poza tym jej bawełniana sukienka, którą dostała od pani Davison, leżała na niej zupełnie inaczej niż na pokojówkach.

Nawet czepek zdawał się podkreślać piękny kształt podbródka, duże oczy i klasyczną symetrię noska.

Na szczęście Bates, bez względu na swoje zdziwienie, nigdy nie zadawał pytań.

- Wręczę to panu hrabiemu, kiedy tylko nadarzy się stosowna okazja - powiedział.

Shenda odpowiedziała mu uśmiechem i pobiegła schować się w bezpiecznych ścianach swego pokoju.

Czuła się jak linoskoczek, który w każdej chwili może spaść w ciemną otchłań, z której nie ma powrotu.

Jak mogła się spodziewać, odpowiedź hrabiego była nadzwyczaj oryginalna. Bates przyniósł jej do pokoju książkę o historii zamku.

- Pan hrabia kazał przekazać - oświadczył - że być może w tej książce znajdzie panienska jakieś wzmianki o tej wsi, którą jest zainteresowana.

- Dziękuję! - wykrzyknęła. - To bardzo wspaniałomyślnie z jego strony, że zechciał pożyczyć mi coś tak interesującego.

Kiedy Bates zniknął za drzwiami, zaczęła gorączkowo przerzucać kartki. Wreszcie natrafiła na krótką wiadomość:

Grecka świątynia - szósta wieczorem.

Czas wyliczyła sobie co do minuty: zaraz po spotkaniu z hrabią musi przygotować kąpiel dla lady Gratton i pomóc jej ubrać się do obiadu.

Wyszła z zamku kwadrans przed szóstą przez drzwi od strony ogrodu. Za nią przez trawnik do gry w kule popędził Rufus.

Grecką świątynię przywiózł do Anglii ósmy z kolei hrabia Arrow na początku ostatniego stulecia. Z przodu ozdabiała ją jońskie filary, z tyłu - małe pomieszczenie z posągami Afrodyty, na której ramieniu i ręce siedziały gołębie. Malowniczo położona za kaskadą wyglądała przepięknie.

Kiedy Shenda przyszła, hrabia już na nią czekał. Na tle dorodnych rododendronów wydała mu się samą Afrodytą wyłaniającą się ze spienionych fal, by zachwycać ludzkość.

W godzinach wolnych od pracy Shenda nie nosiła sukienki pokojówki, gdyż to nie podobało się pani Davison. Teraz miała na sobie nową suknię z podarowanego przez ochmistrzynię czerwonego muślinu. Uszyła ją według najnowszej mody, wzorując się na sukniach zaproszonych dam. Suknia miała wysoką talię i skrzyżowane na piersiach wstęgi.

Zachodzące słońce obsypało jej włosy złotem.

Hrabiemu wydało się, że przychodzi do niego cała w łunie światła.

Sam wyglądał bardzo przystojnie, kiedy stał oparty o białe filary. Zapatrzona w niego Shenda przez moment zapomniała o ukłonie.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć? - spytał z wysiłkiem.

- Nie wiem, co mam zrobić, wasza lordowska mość - powiedziała. - Lady Gratton jutro wyjeżdża do Londynu i chce, abym jej służyła, póki jej dawna pokojówka nie dojdzie do siebie. Hrabia zmarszczył brwi.

- Nic mi o tym nie wspominała!

- Na pewno to zrobi dziś wieczorem. Spojrzał na zegarek. Wiedział, choć trudno mu było się do tego przyznać, że ktoś tak młody i niedoświadczony nie powinien przebywać zbyt długo w towarzystwie Lucille. Ale cóż innego może zrobić?

- Nie znalazłaś przy niej nic więcej? - spytał po chwili.

- Nic, proszę pana.

- Cóż, Shendo... - westchnął. - Muszę cię znowu prosić o pomoc.

- Czy chce pan, abym pojechała do Londynu?

- Dałbym wszystko, żebyś nie musiała tam jechać, ale to jedyna szansa, aby się dowiedzieć, kto stoi za tą nikczemną

kobietą, która, aż trudno w to uwierzyć, jest Angielką z krwi i kości.

- Czy uważa pan, że ten ktoś będzie na tyle niedyskretny, aby przyjść do domu jaśnie pani?

- Na to nie znam odpowiedzi... Możemy się tylko modlić, Shendo, że uda ci się zauważyć coś, co naprowadzi nas na ślad tego szpiega. Pewnie pracuje dla samego Fouche, najbardziej przebiegłego człowieka we Francji.

Spojrzał na nią badawczo, jakby chciał sprawdzić, czy rozumie, o kim mówił.

- Ma pan na myśli ministra policji?

- Skąd wiesz? - zapytał.

- Ojciec mi o nim opowiadał - odparła cicho. - Podobno zmuszał wielu emigre ((z franc.) emigre - emigrant.) do współpracy, grożąc, że jeśli się nie zgodzą, każe zabić ich rodziny we Francji.

Spojrzał na nią zdziwiony. Przeszła mu przez głowę nagła myśl, że ta wspaniała osóbką może również pracować dla człowieka, który podczas rewolucji przyjeżdżał pod gilotynę w kapeluszu ozdobionym ludzkimi uszami. Potem powiedział sobie, że jest przewrażliwiony. Przecież Shendę i tego najokrutniejszego z napoleońskich służalców oddzielał cały kanał.

- Chciałbym cię prosić... - odezwał się po chwili - żebyś pojechała z lady Gratton do Londynu. Zostań tam tak krótko, jak to możliwe. Jeśli będzie chciała cię zatrzymać, powiedz, że jesteś potrzebna na zamku i musisz wrócić tak, jak było wcześniej ustalone.

- Ro... zumiem... - wymamrotała.

- Jeśli wyczujesz jakieś niebezpieczeństwo - dodał - albo że cię ktoś podejrzewa... pamiętaj, mój dom na Berkeley Square jest tylko kilka kroków od domu lady Gratton.

W pełnych wyrazu oczach Shendy dostrzegł ulgę.

- Zawsze możesz tam pobiec. Gdyby mnie nie było, mój sekretarz, pan Masters, będzie zawsze wiedział, gdzie mnie szukać.

- Rozumiem... - powtórzyła, - To wszystko jest trochę przerażające...

- Czy jesteś pewna, że możesz się tego podjąć? - zapytał zbliżywszy się do niej. - Jeśli się boisz, zostaniesz w zamku... Rozumiem twoje obawy...

Spojrzała mu prosto w oczy. Podziwiał sposób, w jaki dumnie podniosła głowę.

- Uczynię to bez względu na niebezpieczeństwo - oświadczyła. - Nawet gdybym miała ocalić życie tylko jednego marynarza!!!

- Dziękuję, Shendo! - odparł nie odrywając wzroku od jej ust.

- Muszę już iść - powiedziała czując, że zaczyna się rumienić. - Jaśnie pani zażyczyła sobie pobudkę o szóstej trzydzięci.

Nie czekając na odpowiedź, popędziła, jak gdyby miała skrzydła u stóp. Przez chwilę chciał ją dogonić i wziąć w ramiona. Była zbyt piękna, zbyt ukochana, aby borykać się z niebezpieczeństwem i z odrażającym zepsuciem francuskich szpiegów. Szczególnie, jeśli były to kobiety sprzedające swoje ciało za informacje. Cokolwiek trzeba będzie poświęcić, Anglia jest zawsze na pierwszym miejscu. „Tajna Ekspedycja” musi dotrzeć bezpiecznie do swego przeznaczenia. Gdyby nie Shenda, mógłby nieumyślnie zdradzić jej tajemnicę. Wprost nie mógł uwierzyć, mimo wielkiej ostrożności admirała dwie osoby w małej wiosce przy zamku Arrow wiedziały nie tylko o „Ekspedycji”, ale i o tym, że Nelson był w drodze na Maderę.

Jedno jest pewne, zaraz po przyjeździe do Londynu musi skontaktować się z lordem Barhamem.

W bawełnianej sukience i czepku pokojówki Shenda wpadła do komnaty lady Gratton punktualnie o szóstej trzydzięci. Jaśnie pani jeszcze spała.

- Wielkie nieba! Czyżby trzeba było wstawać?! - powiedziała sennym głosem po przebudzeniu, - Miałam wspaniały sen...

- Można wiedzieć, o czym, proszę pani? - zagadnęła Shenda.

- Ach, kupowałam najbardziej rozkoszny szal, jaki tylko można sobie wyobrazić. Widziałam go w zeszłym tygodniu na Bond Street (Bond Street - ulica w Londynie znana z najdroższych sklepów.).

- Czy naprawdę jest taki piękny, proszę pani?

- To gronostajowe futro obszyte jedwabiem w kolorze moich oczu.

- Brzmi zachęcająco.

- Kosztuje pięćset funtów - odparła rozmarzona lady Gratton. - Już zdecydowałam: musi być mój!

Shenda na moment wstrzymała oddech. Jak kobieta, obojętnie kim jest, może zaprzedać życie ludzkie za kawałek futra, żeby przyozdobić swe białe ramiona.

Lady Gratton jest bez serca - pomyślała.

Dlaczego hrabia zadurzył się w kimś tak nikczemnym?! Jest przecież taki silny, taki odważny, taki, jaki powinien być prawdziwy Anglik! Potrafi też odpowiednio ocenić ludzi, nie da się ukryć. Jego intuicja zawiodła go, gdy napotkał kobietę pozornie piękną, ale w rzeczywistości tak niebezpieczną jak sam mistrz szpiegów Joseph Fouche.

Dlaczego nie spostrzega, patrząc w jej uwodzicielskie oczy, że jest zła? Być może pociąga ją jako mężczyzna, ale jednocześnie jest gotowa zamordować jego podwładnych... I wszystko po to, żeby nosić gronostajowy szal!



Nienawidzę jej, nienawidzę - powtarzała sobie bez końca pomagając lady Gratton włożyć przetykaną diamentami szatę, której cena na pewno była iście astronomiczna.

Jak wielu musiało umrzeć, żeby mogła sobie na nią pozwolić? - pytała się w duszy.

Skończywszy układać włosy, zapięła na jej szyi naszyjnik z diamentów.

- Hmm... Dziś wieczorem wszystkie kobiety z zazdrości będą chciały wydrapać mi oczy - powiedziała lady Gratton, zerkając do lustra. - Nie dziwię się, że pan hrabia patrzy tylko na mnie.

Tyle było samosatysfakcji w jej głosie, że Shenda poczuła ucisk w piersiach. Cóż, może lady Gratton była nikczemna i zepsuta, ale jej uroda mogła olśnić każdego.

Sama myśl, że hrabia całuje lady Gratton, wzbudziła w niej wspomnienie dotyku jego ust. Właśnie wtedy jej serce przeszył ból, jak gdyby cios zadany ostrym sztyletem. Zdała sobie sprawę, że go kocha.

Następnego ranka cały zamek był na nogach, ponieważ wszyscy łącznie z hrabią mieli wyjechać do Londynu zaraz po wczesnym lunchu. Do powozu zaprzęzonego w sześć koni trzeba było znieść z góry furę pakunków. Trzeba było też gdzieś ulokować całą służbę gości. Dzięki pomysłowości pani Davison, Shenda nie musiała jechać ze służbą, ale w małym powoziku pod opieką pani Davison.

- Muszę zakupić nową bieliznę pościelową - oświadczyła stanowczo ochmistrzyni. - Nie mam zamiaru wyreczać się kim innym. Tylko ja wiem, gdzie świętej pamięci hrabina kupowała najprzedniejsze płótno.

- Bardzo dziękuję! - wykrzyknęła wdzięczna Shenda. - I tak wiem, że pani robi to dla mnie.

- Bzdura, wprost nie mogę się doczekać wyjazdu - odparła ze śmiechem pani Davison. - Jestem pewna, że jego lordowska mość nie będzie miał nic przeciwko mojej decyzji.

Shendzie przyszło nagle do głowy, że hrabia sami; powinien o czymś takim dla niej pomyśleć. Ale przecież dla niego Shenda była tylko zwykłą szwaczka... Pewnie uważał, że odpowiada jej towarzystwo pokojówek, które przed wejściem do powozu głośno chichotały.

Dojazd do Londynu trwał ponad dwie godziny. Najszybsze konie hrabiego ciągnęły najłżejsze pojazdy. Lady Gratton wyjechała wcześniej siedząc wraz z hrabią w powoziku zaprzężonym w dorodne gniadosze.

Shenda patrzyła za nimi z bólem serca. W czepku ze strusimi piórami lady Gratton wyglądała naprawdę czarująco. Jeszcze w swojej komnacie powiedziała do Shendy:

- Dobrze się bawiłam! Mam nadzieję, że jest to pierwsza z wielu moich wizyt w zamku... Nie zapomnij zabrać sukni, które wymagają poprawek!

- Zrobię wszystko, jak należy, proszę pani - odparła cicho Shenda.

- W Londynie czeka cię więcej pracy. Chyba rozumiesz, muszę wyglądać jak najlepiej, żeby zadowolić tak wybrednego dżentelmena jak hrabia - mówiąc to lady Gratton spojrzała w lustro. - A to bardzo... bardzo atrakcyjny mężczyzna.

Shenda zacisnęła dłonie, aż zrobiły się białe. Co takiego powiedział? Co zrobił, że ona tak się o nim wyraża? - pytała się w duchu. - Czy tylko dobrze grał swoją rolę, czy rzeczywiście był zakochany?

Potem się zawstydzila, że na moment zwątpiła w jego lojalność wobec Anglii. Kiedy patrzyła, jak odjeżdżali, tylko jedno przyszło jej na myśl: jeśli chodziło o wygląd, nie ma na świecie dwojga ludzi lepiej dobranych niż oni.

Perry jechał za nimi w innej dwukółce. Reszta gości podróżowała w powozach z zamku, lub we własnych karetach. Odjeżdżając hrabia nie myślał ani o nich, ani o siedzącej obok niego Lucille, zastanawiał się, co powie lordowi Barhamowi. Wczoraj zaniepokoiły go słowa młodego baroneta, który pracował w admiralicji.

Przypomniał sobie, choć na pozór było to niewiarygodne, że lord Barham wspominał coś o przeciekach z jego własnego sztabu. Wykorzystał więc najbliższą okazję, żeby porozmawiać z sir Davidem Jacksonem na osobności.

- Czy chwalisz sobie pracę u lorda Barhama? - zapytał. - Zawsze ogromnie podziwiałem tego człowieka.

- Nie widziałem go, odkąd dostał nominację - odparł sir David.

- Zatem nie pracujesz z nim bezpośrednio? - wypytywał dalej hrabia.

- Nie, pracuję z jego pierwszym sekretarzem. To może wydawać się dziwne, ale on jest Francuzem!

Hrabia starał się ukryć nagle zaniepokojenie.

- Francuzem? - powtórzył niedbale udając, że nie jest specjalnie zainteresowany.

- Nie bądź taki podejrzliwy - odparł sir David. - Ręczę za jego lojalność. Comte Jacques de Beauvais jest synem francuskiego emigranta. Jego ojciec był jednym z ważniejszych ambasadorów Ludwika XV.

- Naprawdę?! - wykrzyknął hrabia.

- Comte przybył do Anglii w pierwszych dniach rewolucji - ciągnął dalej sir David. - Tutaj się wychował i skończył szkołę w Eton.

- Brzmi bardzo wiarygodnie - zaśmiał się hrabia.

- Napoleona darzy wprost fanatyczną nienawiścią - dodał sir David. - Jego babkę stracono na gilotynie, a rodzinny dwór splądrowano i podpalono.

- Rzeczywiście, ten biedak nie ma żadnych powodów, aby darzyć Francuzów jakąkolwiek sympatią - przytaknął hrabia.

- Pewnie, że nie - odparł jego rozmówca. - Pije za klęskę Napoleona przy każdym posiłku, a kiedy przychodzą wieści o zatopieniu francuskiego statku, stawia nam wszystkim! Mieliśmy w biurze niemałą hulankę gdy oznajmiono, że pod Tulonem osobiście zatopiłeś dwa najlepsze francuskie okręty!  
- dodał z podziwem.

- Miałem szczęście - odrzekł hrabia - wiatr zmienił się we właściwym momencie, inaczej by mnie tu nie było...

- Chciałbym wrócić do swojej jednostki - wyznał sir David. - Z nogą już wszystko w porządku, ale lekarze nie chcą o tym słyszeć przez najbliższe sześć miesięcy...

- Cóż, teraz też wykonujesz niezłą robotę.

Ta rozmowa rozpałała w nim chęć poznania bliżej comte'a Jacques'a de Beauvais. Być może z całej duszy pragnie, by Anglia wygrała tę wojnę, jak mówi sir David... Ale nigdy nic nie wiadomo. Po zdradzie Lucille nie wolno mu ufać nikomu. Później przyznał w duchu, że tropienie szpiegów staje się jego obsesją. Znał wcześniej podobnych ludzi i zawsze uważał ich za trochę nie zrównoważonych.

Konie kłusowały równym tempem. Siedząca zbyt blisko Lucille szeptała czułe słówka, a on myślał o Shendzie. Czy dobrze zrobił wysyłając ją samą do Londynu?

## Rozdział 6

Pani Davison wysiadła przy rezydencji hrabiego na Berkeley Square. Dom wyglądał bardzo imponująco, ozdobiony pozłacanymi poręczami i mosiężną latarnią. Shenda zapragnęła zajrzeć do środka, ale zaraz po wyjściu pani Davison przykazała woźnicy jechać do domu lady Gratton.

Lady Gratton mieszkała na jednej z uliczek odchodzących od Berkeley Square. Dom był niewielki, ale ciekawie umeblowany. Na parterze mieściła się ogromna jadalnia i salonik dla gości, na piętrze - duży salon do przyjęć. Nad salonem z tyłu domu lady Gratton miała swoją sypialnię.

Shenda bała się, że będzie musiała spać na strychu; trzy małe pokoiki zajmowały dwie służki, a w czwartym ze złamaną nogą leżała pokojówka lady Gratton. Odetchnęła z ulgą, kiedy przydzielono jej małą sypialnię naprzeciwko komnaty jaśnie pani.

Pokoik Shendy przylegał do garderoby, często używanej przez męża lady Gratton, kiedy wracał do domu. Był bardzo mały. Do tego jedną ze ścian zajmowała ogromna szafa pełna ubrań jej pracodawczyni. Na wciśniętym w kąt łóżku leżało przynajmniej tuzin damskich czepków. Jedna ze służących pomogła spakować je do pudełek i położyć na szafie, ale nawet wtedy nie było specjalnie gdzie się ruszyć.

Przynajmniej mam pokój dla siebie - pocieszała się w duchu.

Obawiała się, że będzie musiała zamieszkać z tą biedną niedysponowaną pokojówką lub z dwiema pozostałymi. Właśnie rozpakowywała pakunki i wieszła suknie do szafy, kiedy wreszcie przybyła sama lady Gratton.

Wyglądała nadzwyczaj pięknie, ale kiedy podeszła bliżej, Shenda poczuła dreszcz.

- Jak tylko się z tym uporasz - powiedziała apodyktycznie  
- pokażę ci suknie do przeróbki... Tylko się nie guzdraj!

Shenda chciała zaznaczyć, że trudno jej będzie pracować w takiej ciasnocie, ale się powstrzymała. Lepiej być blisko sypialni lady Gratton, jeśli ma się odkryć cokolwiek ważnego. Bez słowa opróżniła walizy cierpliwie czekając na dalsze polecenia.

Kiedy ujrzała okazały stos sukienek do przeróbki, nie musiała się wiele wysilać, żeby wyjaśnić służącym, że chce jadać sama. Ktoś, kto ma tyle pracy, nie może sobie pozwolić na żadną stratę czasu. Wiedziała, że nie spodoba im się noszenie posiłków na górę. W przeciwieństwie do tej z zamku nie była to najlepsza służba, a do tego szczerze nie lubiła swojej pani.

Jej kolacja była zimna i nieapetyczna.

Muszę być przygotowana na takie poświęcenie, jeśli chcę naprawdę pomóc hrabiemu - pomyślała.

Kiedy wyobrażała sobie jego postać, jedzenie wydawało jej się nieważne.

Muszę mu pomóc... Muszę! - powtarzała.

Podczas wieczornej toalety starała się być miła dla lady Gratton. Na obiedzie było dwóch starszych dżentelmenów. Podobno byli to jacyś krewni, którzy dopiero co przybyli do Londynu. W ich zachowaniu nie było nic, co mogłoby budzić jakiegokolwiek podejrzenia. Shenda obrzuciła ich zza poręczy przelotnym spojrzeniem, kiedy ociężałe człapali do salonu.

Wieczorem poczuła się bardzo zmęczona. Miała za sobą ciężki dzień. Z nerwów wydawało jej się, że ściany pokoju napierają na nią jak więzienne kraty, a ona w żaden sposób nie może uciec. Po chwili zganiała się za swoją wybujałą wyobraźnię. Wziąwszy Rufusa w ramiona poczuła ulgę, że jest przy niej ktoś, kto ją kocha.

Podczas gdy lady Gratton jadła obiad, wzięła go na spacer. Miała zamiar skrócić na Berkeley Square i popatrzeć na dom hrabiego, ale gdyby przez przypadek ją zobaczył, pewnie pomyślałby, że jest ciekawska albo że zaniedbuje swoje obowiązki.

- Mam nadzieję, że nie będziemy tu zbyt długo - szeptała głaszcząc Rufusa. - Na pewno chcesz wrócić do zamku tak samo jak ja...

Potem pomyślała, jak przystojnie wyglądał hrabia, kiedy stał czekając na nią w greckiej świątyni. Wydał jej się wtedy samym Apollem, który oświeca wszystkich poszukujących.

Przypomniała sobie jego pierwszy pocałunek i posmutniała, wiedząc, że coś takiego już się więcej nie powtórzy. Kiedy nie będzie mu już potrzebna, zostaną jej tylko wspomnienia.

Gdybym była rozsądniej sza, opuściłabym zamek i wioskę, i poszła szukać szczęścia gdzie indziej - myślała.

Jedynym miejscem, do którego mogła się udać, był dom jej wuja... Dlatego postanowiła trzymać się swej posady szwaczki, dopóki to będzie możliwe.

Kiedy skończyła pomagać lady Gratton w wieczornej toalecie, postanowiła pójść natychmiast do łóżka. Lady Gratton przywdziała jedną ze swych przezroczystych koszuli nocnych. Nagle ku wielkiemu zdziwieniu Shendy zażądała:

- Podaj mi mój niebieski muślinowy szlafroczek! Wisi w szafie.

Gdy wreszcie założyła owo cudo, trudno było nie zauważyć, że musiał niemało kosztować. Był taki śliczny... Shenda zastanawiała się, po co lady Gratton założyła go akurat wtedy, gdy jest zupełnie sama.

- Jesteś wolna! - przerwała jej rozmyślenia. - Nie będziesz mi już dzisiaj potrzebna. Obudź mnie jak zwykle o dziesiątej.

Mam nadzieję, że wstaniesz o wiele wcześniej i przerobisz kilka sukienek. Przymierzę je zaraz po przebudzeniu.

- Tak zrobię, proszę pani - odparła Shenda. Obrzuciła pokój ukradkowym spojrzeniem żeby się przekonać, że jest wysprzątany. Po czym wyszła zamykając za sobą drzwi.

Czekający niecierpliwie Rufus z radości podskoczył na jej widok. Wślizgnęła się szybko w piękną, uszytą przez matkę koszulę nocną. Na nią narzuciła starą, bawełnianą sukienkę, której jedyną ozdobą były perłowe guziczki i obszyty tasiemką kołnierzyk. Nosila ją od wielu lat, bo była ciepła i wygodna. Teraz chciała sobie trochę poczytać przed snem.

Właśnie ustawiała świeczkę w odpowiedniej pozycji, kiedy usłyszała zza ściany odgłos otwieranych drzwi. Przez chwilę myślała, że lady Gratton ma jeszcze jakieś życzenia. Na pewno nie spodobałby się jej widok siedzącego na łóżku Rufusa, dlatego szybko postawiła go na podłodze.

Lady Gratton jednak ominęła jej drzwi i zaczęła schodzić po schodach.

Ciekawe, czego szuka? - pytała siebie.

To wydało jej się nadzwyczaj dziwne. Kobieta, która nigdy nic sama nie zrobiła, nie zawołała Shendy, aby coś jej podała.

Powinnam być wdzięczna, że mam chwilę spokoju i nie muszę usługiwać osobie, do której żywię pogardę i nienawiść - skarciła swoje podekscytowanie. - A swoją drogą, rodzice byliby przerażeni na samą myśl, że zadaję się z kimś tak nikczemnym, nie mówiąc już o odgrywaniu roli służącej...

Później pomyślała, że ojciec zrozumiałby jej intencje. Chce przecież mieć swój udział w zwycięstwie nad Napoleonem, który akurat w tym momencie ma całą Europę u swych stóp. Aż strach pomyśleć, że ten tyran, którego okrucieństwo przerażyło całą Anglię, musi tylko pokonać brytyjską flotę, aby odnieść całkowite zwycięstwo.



Dobry Boże... - modliła się - pozwól nam wygrać...

Jej modlitwy zostały przerwane przez odgłosy zatrzymującego się powozu. Zdziwiona wyskoczyła z łóżka i ostrożnie uchyliła zasłonę. Któż to składa wizytę o tak późnej porze?

W mroku dojrzała dach krytego powozu, woźnicę i lokaja, który akurat otwierał drzwi. Nie mogła jedynie dojrzeć wysiadającego. Być może to sam sir Henry Gratton powrócił niespodziewanie do domu.

Wtedy zdała sobie sprawę, że lady Gratton zeszła na dół. Musiała więc spodziewać się gościa, choć nie była na taką wizytę odpowiednio ubrana.

Shenda szybko zdmuchnęła świecę, wsunęła nogi w swoje aksamitne kapcie, które wspaniale pasowały do jej koszuli i delikatnie nacisnęła klamkę. Serce bilo jej głośno z przerażenia.

Drzwi do pokoju lady Gratton były uchylone, co oznaczało, że nie powróciła na górę. Powoli zaczęła schodzić po schodach, trzymając się dla niepoznaki przy ścianie. Wtedy usłyszała pukanie do drzwi frontowych, tak ciche, że nie mógł go usłyszeć nawet śpiący w suterenie lokaj. Ktoś, niewątpliwie sama lady Gratton, wyszedł z salonu i udał się do holu. Potem dobiegły ją odgłosy otwieranych drzwi, rozbłysło światło i wyraźnie usłyszała czyjeś kroki.

- Już myślałam, że o mnie zapomniałeś - powiedziała cicho lady Gratton.

- Wybacz, ma chérie - dał się słyszeć męski głos. - Mieliliśmy pewne kłopoty w admiralicji, dopiero teraz mogłem się na chwilę wyrwać.

- Ale wreszcie jesteś! Tylko to się liczy! - odparła lady Gratton. - Zapraszam na górę do salonu.

Słyszała jak wchodzili, a kiedy zamknęły się za nimi drzwi, wiedziała, że musi podsłuchać dalszą rozmowę.

Nocny gość mówił nienaganną angielszczyzną, ale nie sposób było nie zauważyć pewnych francuskich naleciałości. Dzięki temu była głęboko przekonana, że to właśnie o tym mężczyźnie hrabia chciałby dowiedzieć się czegoś więcej.

Cichutko stąpając po grubym dywanie, dotarła do drzwi salonu. Na szczęście nie były to ciężkie mahoniowe drzwi jak w zamku. Mogła wyraźnie słyszeć śmiech lady Gratton, a potem odpowiedź na zadane pytanie.

- Tak... To było wspaniałe przyjęcie, w dodatku hrabia zadurzył się we mnie na amen!

- Oby tak dalej! - odparł mężczyzna.

- Pozwolę sobie uraczyć cię szampanem, a potem możemy porozmawiać - propozycja lady Gratton zabrzmiała zachęcająco.

- Wyglądasz dziś tak ponętnie, że wprost nie mogę stłumić pożądaniami... Tęskniłem za tobą ma petite...

Przez moment zapanowała cisza. Shenda była pewna, że mężczyzna chciwie całował lady Gratton, trzymając ją w objęciach. Wreszcie znów usłyszała jego basowy głos:

- Muszę się napić! Mon Dieu, mówią że Francuzi są gadatliwi, ale to samo dotyczy admirałów i polityków... Im też trudno zamknąć usta.

Ostatnim słowom zaakompaniował śmiech lady Gratton. Potem usłyszała, jak ów nieznajomy podszedł do stołu, gdzie musiały być drinki. Rozległ się dźwięk wyjmowanych kieliszków, a potem znów kroki, kiedy wracał z napełnionym kieliszkiem dla lady Gratton.

- Wypijmy toast za twoje piękne oczy, ma chérie, za twoje ponętne usta i budzące pożądanie wspaniałe ciało!

- Jesteś, jak zwykle, bardzo poetyczny, Jacques - roześmiała się lady Gratton.

- Przy tobie nie można być innym - odparł. W końcu zaczęli sączyć szampana.

- Jakie wiadomości mi przynosisz? - krótką ciszę przerwał niecierpliwy głos mężczyzny, którego lady Gratton nazwała Jacques'em. - Mów po francusku, tak będzie bezpieczniej.

Znów zawtórował mu przytłumiony śmiech lady Gratton.

- Wiesz, że jesteś tutaj zupełnie bezpieczny, a poza tym zawsze narzekasz na mój akcent!

- Ależ skąd! Uwielbiam twoją łamaną francuszczyznę i wszystko, co jest związane z twoją osobką! A teraz, cóż masz mi do zakomunikowania?

Na chwilę zapanowała cisza. Po czym lady Gratton odezwała się swoim ubogim francuskim z wyraźnym angielskim akcentem:

- Z tego, co udało mi się z niego wyciągnąć, „Tajna Ekspedycja” zmierza do Indii Zachodnich.

- Wspaniale! Wszystko zgodnie z oczekiwaniami Napoleona. Będzie zadowolony, kiedy się dowie, że jak zwykle miał rację - odrzekł Jacques z satysfakcją w głosie. - Czy wiesz, co słyszałem dwa dni temu od jednego z przyjaciół? - tu wciągnął głęboki oddech. - Cesarz zamierza nastraszyć Downing Street, że rozbije słabą, angielską armię. Twoja wiadomość jeszcze bardziej upewni go co do niechybnego zwycięstwa.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony, Jacques - powiedziała czule lady Gratton.

- Zadowolony?! Jestem uradowany!

- Więc... dostanę moje wynagrodzenie? - jej głos zabrzmiał nad wyraz chciwie.

- Oczywiście. A ponieważ nigdy mnie nie zawiodłaś, mam je nawet przy sobie.

- Pięćset funtów? - spytała podniecona.

- Dokładnie tyle.

Shendę dobiegł cichy odgłos, jakby sięgał po coś do kieszeni.

- Och Jacques, jak cudownie! - wykrzyknęła lady Gratton.  
- Dziękuję, właśnie chciałam sobie kupić coś szczególnego!  
Zawsze hojny i dobry z ciebie przyjaciel.

Mówiła po angielsku, ale Jacques zagadnął ją po francusku:

- Co z Nelsonem?

- Na ten temat nic nie mogę wyciągnąć z jego lordowskiej  
mości... Pewnie nic nie wie... - tłumaczyła się.

- Być może uważa twoje pytania za podejrzone? - jego  
głos zabrzmiał ostro i przerażająco.

- Bzdura! - odparła szybko lady Gratton. - Jak mógłby  
pomyśleć nawet przez moment, że mam jakieś szczególne  
motywy, dla których interesują mnie losy naszego  
przesławnego marynarza!

- Pewnie wszyscy o nim mówią... - odparł Jacques po  
namyśle.

- Mówią, ale osobiście uważam, że wszyscy bohaterowie  
są nudni, a już szczególnie tacy, których nie widzę długi czas.  
Zupełnie zapominam, jak wyglądają.

To go rozbawiło.

- Mimo wszystko musisz spróbować jeszcze raz -  
powiedział. - Francuzi muszą wiedzieć, gdzie teraz jest ten  
człowiek. Wystarczająco dużo kłopotów przysporzył,  
pojawiając się tam, gdzie się go najmniej spodziewano.

- Na pewno spróbuję - obiecała lady Gratton. - Zawsze  
staram się robić wszystko, o co prosisz, Jacques.

- Pod koniec tygodnia dostaniesz następne, ważne  
pytania. Za każdą informację czeka cię obfita nagroda.

- Jesteś taki hojny - westchnęła lady Gratton.

Nasłuchując Shenda zauważyła nagle, że przyczłapał do  
niej Rufus. Chyba kurz podrażnił mu nos, bo cichutko kichnął.  
Zanim cokolwiek zdążyła zrobić, drzwi do salonu otworzyły  
się z łoskotem i stanął przed nią mężczyzna.

- Kim jesteś? Co tutaj robisz? - Głos Francuza straszliwie rozdzierał ciemność.

Przez moment miała w głowie pustkę. Jest przekonany, że go szpiegowała... Może nawet za chwilę rzucić się na nią... Czowała się, jak gdyby serce stanęło jej w miejscu. Z trudnością łapała oddech.

Naraz przyszło jej na myśl, że jeśli posądzi ją o szpiegostwo, może również podejrzewać hrabiego. Właściwe słowa przyszły jej do głowy tak nagle, jak gdyby sam ojciec szepnął jej odpowiedź do ucha.

- Przykro mi, że... przeszkodziłam panu - mówiła iście dziecinnym głosem - ale mój piesek chciał wyjść i muszę go wyprowadzić.

Przez jedną potworną chwilę myślała, że ów Francuz jej nie uwierzył. Zrobił krok naprzód, żeby przyjrzeć się Rufusowi. Wtedy dobiegł ją z salonu głos lady Gratton:

- Wszystko w porządku. To tylko moja pokojówka.

Czując się, jakby śniła jakąś marę nocną, dygnęła i trzymając się poręczy zeszła ze schodów. Po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że Jacques wrócił do salonu.

- Il faut la tuer! - dobiegł ją jego niski głos.

Dopiero, kiedy jej ręka spoczęła na klamce zrozumiała sens tych słów: „Trzeba ją zlikwidować!” Ten straszliwy wyrok ukazał jej się przed oczyma w ognistych literach.

Przez moment z przerażenia nie mogła się ruszyć. Otworzyła pośpiesznie drzwi, wypuściła Rufusa i poszła za nim. Siedzący na koźle woźnica gapił się na nią ze zdziwieniem, kiedy przechodziła. Szła powoli, starając się stłumić ogarniającą ją panikę.

Il faut la tuer!

Tego właśnie mogła się spodziewać po jednym ze szpiegów Napoleona,

Droga do Berkeley Square wydała się ciągnąć bez końca, ale jakoś tam dotarła. Kiedy powóz Francuza zniknął jej z oczu, zaczęła biec z całych sił w kierunku domu hrabiego. Przed wejściem nadal świeciła latarnia.

Nagle zdała sobie sprawę, że może być śledzona. Woźnica na pewno będzie wiedział, gdzie poszła. Odwróciła się i odetchnęła z ulgą. W świetle księżycy ulica była dobrze oświetlona. Nikogo na niej nie było. Pobiegła po schodach i chwyciła za kołatkę u drzwi, ostrożnie poruszając ją z góry na dół, by wśród ciszy nocnej nie rozchodziły się dźwięki. Mogłyby zaalarmować woźnicę albo tego mężczyznę u lady Gratton.

Zdawało się, że minęły wieki, zanim otworzono drzwi, zza których wyjrzał lokaj. Spojrzał na nią zmęczonymi oczyma, jakby przed chwilą chrapał w najlepsze w przeznaczonym dla niego w holu krześle.

Shenda rozpoznała w nim chłopaka z zamku, którego znała od lat.

- Czy... zastałam pana hrabiego, James? - spytała z trudnością łapiąc oddech.

Wchodząc stanęła obok niego.

- A... to panienska Shenda! - powiedział zdziwiony, po czym wskazał palcem na drzwi po drugiej stronie holu. - Zaraz mu powiem, że panienska przyszła... Niech no tylko zamknę drzwi.

Shenda nie chciała czekać. Popędziła w kierunku, jak się później okazało, gabinetu hrabiego i wpadła do środka.

Hrabia właśnie stał przy oknie, które wychodziło na mały ogródek z tyłu domu. Na odgłos kroków odwrócił się, wielce zdziwiony jej widokiem.

Z przerażenia myślała tylko o tym, że hrabia musi ją ocalić. Podbiegła i przywarła do niego całym ciałem.

- Znalazłam pańskiego szpiega! - wymamrotała. - Teraz on chce mnie zabić!

Te słowa zdawały się zupełnie bezładne, ale nic się w tej chwili nie liczyło prócz tego, że hrabia jest przy niej i na pewno ją ocali. Ukryła twarz w jego ramionach. Obejmując ją, poczuł drżenie jej wątłego ciała.

- Już wszystko w porządku - uspokajał. - Nikt cię nie skrzywdzi.

- P...pp... powiedział: Il faut la tuer! - wyszeptała z trudem cedząc słowa.

Musiła jednak uświadomić go, jakie niebezpieczeństwo grozi każdemu, kto wchodzi w drogę bezlitosnym szpiegom Napoleona.

- Pana... też może zabić - wyszeptała.

Później, ponieważ wszystko wydało się takie przerażające i bała się nie tylko o siebie, ale i o niego, wybuchnęła głośnym płaczem. Tuląc ją hrabia zrozumiał nagle, że czuje do niej coś, czego nigdy nie czuł do żadnej innej kobiety. Zapragnął ją strzec, opiekować się nią, a już nade wszystko chronić przed obłudą Lucille, okrucieństwem napoleońskich służalców i towarzyskim światem Londynu, gdzie na uczciwość i czystość nie ma miejsca.

Gdy tak bezradnie płakała w jego ramionach, poczuł, że jest zakochany.

W tym czasie Lucille Gratton naląła sobie następny kieliszek szampana. Jej gość stał w drzwiach z zachmurzoną miną.

- Przestań się martwić, Jacques - odezwała się. - Przywiozłam tę dziewczynę ze wsi, bo to szwaczka. Jest młoda i głupia... Nic ci z jej strony nie grozi...

- Powiedziałaś, że w domu nie ma nikogo, kto mógłby nas podsłuchać - mówił oskarżającym tonem.

- Skąd mogłam wiedzieć, że ta głupia dziewczka będzie wyprowadzać psa akurat o tej porze?

- Na pewno jest niebezpieczna! - oświadczył Jacques. - Przyślę ci jutro kilka pigułek. Dopilnuj, żeby znalazły się w jej pożywieniu.

- Naprawdę masz zamiar ją zabić?

- Usunąć! To jest lepsze określenie.

- Och, Jacques - zaprotestowała lady Gratton. - Nie mogę mieć w domu trupów! Dobrze wiesz, że gdyby ktoś się dowiedział, zaczną się plotki... Poza tym, zabrałam ją z zamku.

- Śmierć jest nieunikniona, nawet dla ludzi z zamku - odparł z sarkazmem. - Będziesz miała przynajmniej wymówkę, żeby serdecznie współczuć hrabiemu i wyrazić swoje ubolewanie, że stracił kogoś ze swej służby.

- Ależ ze mnie głuptas! - przerwała rozdrażniona. - Jak mogę zaprzętać sobie głowę służbą, kiedy ty jesteś ze mną.

Postawiła na stole kieliszek z szampanem i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Najdroższy Jacques - wyszeptała. - Jesteś mi najmilszy, kiedy kochasz się ze mną.

Przez moment opierał się jej nic nie mówiąc.

- Czy tego właśnie chcesz? - zapytał wreszcie.

- Jak mogłabym nie chcieć!

Przywarła do niego ustami, a gdy ją całował, czuła, że go podnieciła.

- Chodźmy na górę - zaproponowała. - Ta głupia dziewczka na pewno już wróciła.

Jacques nalał sobie szampana. Lady Gratton podeszła do drzwi.

- Jeszcze jej nie ma - oświadczyła widząc, że są otwarte. - To ułatwia sprawę. Chodź na górę i zamknij za sobą drzwi.



Zrobił, jak mu przykazała. Na chwilę zatrzymał się obserwując otwarte drzwi.

- Jacques! - w jej głosie była namiętność i pożądanie, którym nie sposób było się oprzeć.

Zwinnie pokonał następną partię schodów i wbiegł do jej sypialni.

Hrabia posadził Shendę na sofie i podał jej kieliszek grogu.

- Wypij choć trochę - prosił łagodnie, kiedy kręciła głową. - To ci dobrze zrobi.

Chociaż alkohol był rozcieńczony, ciężko przechodził jej przez gardło i mimowolnie wzdrygnęła się. Jednak uczucie załamania i słabości zaczęło ją opuszczać. Próbowwała wytrzeć ręką łzy, ale dał jej swoją chusteczkę. Przypomniała sobie wtedy, jak w lesie owinał Rufusowi łapę. Po raz pierwszy od swej ucieczki rozejrzała się nerwowo w poszukiwaniu Rufusa. Pies leżał zwinięty u jej stóp, co napełniło ją uczuciem ulgi.

- To Rufus mnie ocalił! - oświadczyła hrabiemu.

- Teraz musisz opowiedzieć mi wszystko od początku - powiedział otulając ją ramieniem. Wytarła ostatnie łzy i wyszeptała:

- Jest mi przykro...

- Nie mam pojęcia, z jakiego powodu - odparł. - Byłaś taka dzielna. Musimy być teraz rozsądni i zdecydować o dalszych krokach. Powiesz mi wreszcie, co słyszałaś?

Pełna obaw, czując wciąż jego rękę na swoim ramieniu, Shenda zrelacjonowała dokładnie wszystkie wydarzenia w domu lady Gratton od momentu jej przybycia. Jednak kiedy przyszło jej mówić o tym, co lady Gratton powiedziała Jacques'owi o „Tajnej Ekspedycji”, zawahała się. Popatrzyła na niego wzrokiem pełnym niepokoju.

- Powiedz, co mu powiedziała - powtórzył delikatnie hrabia.

- Powiedziała... że wie od pana... iż „Tajna Ekspedycja” udała się do Indii Zachodnich - to mówiąc spuściła głowę, ale po chwili znów ją podniosła. - Pan nie mógłby... pan ich... nie zdradził? - spytała.

- Chyba w to nie wierzysz?

- Nie... ale tak właśnie powiedziała. - To kłamstwo! - odparł spokojnie.

- Jest pan pewien?

- Zupełnie pewien! Mogę ci teraz powiedzieć, że admiraliczka chce, aby Napoleon tak właśnie myślał.

Shenda westchnęła z ulgą.

- Naprawdę myślałaś, że mógłbym być tak głupi? - zapytał. - Miałbym, po tym, jak mnie ostrzegłaś, narazić nasze okręty na niebezpieczeństwo?

To zabrzmiało jak oskarżenie, dlatego ukryła twarz w jego ramionach.

- Proszę mi wybaczyć - wyszeptała. - Wiedziałam, że nie zrobiłby pan tego umyślnie, ale... ona mogła użyć jakiejś presji psychicznej... albo jakiejś mikstury, żeby pan mówił przez sen...

- Nic takiego nie zrobiła - odparł. - Czy teraz dowiem się, co wydarzyło się później?

Ponieważ jej zmartwienia zostały rozwiane, opowiadała teraz szybko i bez wahania. Głos jej zadrżał dopiero, kiedy miała powtórzyć owo zdanie wypowiedziane po francusku, które brzmiało jak dźwięk dzwonu na śmierć. Później, już trochę głośniej, zakończyła urywanymi słowami:

- Nie chcę... nie chcę umierać!

- Ależ nic takiego się nie wydarzy - oświadczył stanowczo. - Przynajmniej nie przez najbliższe kilkadziesiąt lat!

- Czy... pan mnie ochroni?

- A myślałaś, że mógłbym postąpić inaczej?! - spytał. - Po tym, jak byłaś taka wspaniała, tak niezwykle cudowna?

- Czy... pan wie, kim jest szpieg?

- Wiem, kochanie... i to właśnie nie ty, ale on zginie!

Spojrzała na niego. Jej ciało na chwilę jakby zeszywniało, a oczy znów zdawały się wypełniać całą twarz.

- Co... ccc... co pan powiedział? - zapytała ledwo słyszalnym głosem.

- Powiedziałem: „kochanie” - wyjaśnił. - Bo kocham cię już od dłuższego czasu, choć walczyłem z tym uczuciem, jak mogłem... Kocham cię, Shendo! Chciałbym wiedzieć, co ty czujesz do mnie.

Shenda podniosła głowę. Jego usta spoczęły na jej ustach. Pocałował ją, tak jak kiedyś, ale zupełnie inaczej. Pocałunek był władczy i pożądlivy, jak gdyby bardzo jej pragnął i jednocześnie bał się, że może ją utracić. Czowała, że niebo otworzyło się nad nią i wszystkie gwiazdy spadły do jej serca. Jego usta wznieciły w niej uczucie, którego doznała podczas pierwszego pocałunku w lesie. Teraz jednak było milion razy silniejsze i bardziej anielskie. A on całował ją dalej i dalej... Wtedy oddała mu nie tylko serce, ale i duszę.

Kiedy podniósł głowę, przez gardło zaczęły jej przechodzić bezładne słowa, pełne radości, jakiej nigdy nie słyszał w głosie kobiety.

- K...kk...kocham... pa... kocham cię, kocham! Ale jak ty możesz kochać mnie?

- Bardzo prosto! - wykrzyknął. - Obiecuję ci, moja ukochana, że nic takiego już ci się więcej nie przydarzy. Nigdy więcej nie wplątam cię w coś tak przerażającego i niebezpiecznego!

- Chciałam ci pomóc.

- Wiem... Byłaś niewiarygodnie dzielna. Chyba rozumiesz, że muszę teraz działać szybko, aby to narzędzie w rękach Napoleona nie zdołało zbiec.

Zastanowiła się przez chwilę. Starła się zapomnieć na moment o ustach hrabiego i przypomnieć sobie jeszcze raz bieg wydarzeń.

- Zostawiłam otwarte drzwi... Na pewno wiedzą, że nie wróciłam.

Przytulił ją jeszcze mocniej, jakby chciał ją ochronić. Potem wstał z miną człowieka, który zaczyna działać.

- Odprowadzę cię na górę, żebyś mogła się położyć - oznajmił. - Będiesz bezpieczna. Mój lokaj, stary towarzysz z morskich podróży, zaopiekuje się tobą.

- Zostawiasz mnie? - spytała błagalnie.

- Idę do lorda Barhama. Muszę mu powiedzieć, że rozwiązałaś jego problem. On poczyni dalsze kroki - tu przerwał na chwilę. - Ale w tym czasie... - dodał jakby do siebie - ta bestia może uciec!

W jego głosie było coś, co przeraziło Shendę.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała. Wybiegł z pokoju bez słowa i zawołał lokaja, który siedział na wyściełanym krześle. Na widok hrabiego skoczył na równe nogi.

- Obudź wszystkich mężczyzn w domu! - rozkazał hrabia. - Każ im się natychmiast ubierać! Pośpiesz się, nie ma czasu do stracenia.

Słowa te zabrzmiały jak wojskowa komenda, wydana przez człowieka, dla którego najwidoczniej była codziennością. James popędził wzdłuż korytarza do pokoi, gdzie spała męska część służby.

W tym czasie Shenda wyszła z gabinetu i stanęła obok hrabiego. Wziął ją za rękę. Razem weszli po schodach do jego sypialni.

Sypialnia była okazała, choć nie tak duża jak ta w zamku. Siedział w niej niski, muskularny mężczyzna, w którym od razu rozpoznała marynarza. Na widok wchodzących wstał i wyprostował się.

- Hawkins! - zwrócił się do niego hrabia. - Ta panienka jest w niebezpieczeństwie. Chcę, żeby spała w moim łóżku, dopóki nie wrócę. Strzelaj do każdej osoby, która zechce zakłócić jej spokój! Zrozumiałeś?!

- Tak jest, wasz lordowska mość! - odparł Hawkins.

Hrabia zwrócił się do Shendy: - Obiecuję ci, tutaj będziesz bezpieczna - powiedział.

- A... czy ty będziesz bezpieczny?

Nagle rozpaczliwie zaczęła się o niego bać. W odpowiedzi uśmiechnął się i już go nie było. Słyszała tylko kroki na schodach, a później w holu.

Większość mężczyzn czekała już na niego na dole.

Nagle ogarnęło ją uczucie samotności i zagubienia. Chciała go gonić... Nie wiedziała, co robić... po prostu stała bezradnie na środku jego sypialni.

Wzrok jej przyciągnęło wielkie łóżo z baldachimem i zasłonami, na którym był wyhaftowany herb hrabiów Arrow.

- Niech panienka się położy - powiedział Hawkins. - Proszę się nie martwić, pan hrabia potrafi o siebie zadbać. Dbał o nas wszystkich, jakeśmy razem pływali.

- Przypuśćmy... przypuśćmy, że ten Francuz go zabije? - spytała drżącym głosem.

Hawkins uśmiechnął się:

- Założyłbym się o ostatni grosz, że pan hrabia wystrzeli pierwszy! A teraz, do łóżka panienko! Rozkaz to rozkaz i trzeba mu się podporządkować.

Przez chwilę nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Nie czuła nawet zażenowania, kiedy Hawkins odsłonił zasłony i pomógł jej się położyć. Przypominał jej starą nianię.

- Gdyby się panienka za mocno martwiła - oznajmił - siedzę tuż pod drzwiami z pistoletem w ręku. Niech no tylko spróbuje wleźć jakiś wszędobyłski, zaraz poczęstuje go śrutem. A strzelec ze mnie pierwszorzędny, nie chwałąc się!

Shenda z trudnością stłumiła śmiech.

- Dziękuję... Przy panu będę zupełnie bezpieczna.

Hawkins zdmuchnął świecę i podszedł do drzwi.

- Życzę panience dobrej nocy... Oby Bóg zesłał nam jutro pomyślny wiatr!

Pewnie często tak właśnie żegnał hrabiego, kiedy razem pływali po morzu. Gdy zamknęła oczy, myślała o bliskości jego ramion, o namiętnych pocałunkach i dotyku jego ust.

Kocham go... Kocham go... - szeptała bezwiednie.

Gdyby naprawdę odwzajemniał jej miłość, wszystkie jej sny stałyby się rzeczywistością. Bała się, że każde jego słowo było tylko snem.

## Rozdział 7

Hrabia wraz ze swoją małą armią wrócił triumfalnie na Berkeley Square. Właśnie wstawał świt. Ulice wypełniały się ludźmi śpieszącymi do pracy.

Kierował własnym powozem. Przed domem zatrzymał konie i z powozu wygramolili się wszyscy mężczyźni domownicy. Chociaż nie spali przez całą noc, policzki ich ozdabiały rumieńce, a oczy tryskały radosnym blaskiem. Hrabia zdawał sobie sprawę, że tę noc będą pamiętać przez całe życie.

Kiedy wieczorem zostawił Shendę pod opieką Hawkinsa, zszedł do czekających w holu mężczyzn. Spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Spokojnie wyjaśnił im powód tej nagłej pobudki. Sytuacja powtórzyła się jak kiedyś na statku. Gdy poprosił o ochotników, wszyscy gotowi byli pójść za nim.

Najmłodszego lokaja posłał po woźnicę i kazał mu ostrożnie przyprowadzić jego kryty powóz pod dom lady Gratton. Sam wraz z sześcioma mężczyznami ruszył wzdłuż Berkeley Square. Trzem najbardziej zaufanym wręczył broń.

Zgodnie z jego oczekiwaniami woźnica comte'a spał spokojnie na koźle. Nie zwrócił uwagi na trzech mężczyzn zbliżających się z jednej i dwóch z drugiej strony drogi. Kilka kroków za nimi podążało dwóch następnych. Dopiero kiedy hrabia z Carterem weszli do domu, spojrzeli na nich zaskoczony. W tym samym momencie ktoś ściągnął go z kozła i zakneblował usta. Podobna rzecz przytrafiła się lokajowi z drugiej strony powozu.

Cichutko wspinając się po schodach, hrabia starał się zapomnieć o przyczynie swych wcześniejszych wizyt w tym domu. Za nim szedł Carter. Skończył już pięćdziesiątkę, ale na swój wiek wyglądał młodo. Kiedyś na zamku był zwykłym lokajem. Teraz otrzymał posadę kamerdynera w domu na Berkeley Square.

Hrabia zatrzymał się na moment przed sypialnią, żeby tamten mógł go dogonić. Na widok dwóch uzbrojonych mężczyzn lady Gratton wydała okrzyk przerażenia. Hrabia pozwolił comte'owi się ubrać i doradził Lucille uczynić to samo. Zaczęła pochlipywać i odwoływać się do jego sumienia, ale on nawet na nią nie spojrział. Dopiero kiedy pełen furii comte skończył przyodziewek, zwrócił się do niej ostro:

- Daruję jaśnie pani przywilej ubrania się na osobności. Raczy jednak pani pamiętać, że stąd nie ma ucieczki. Zostawiam pod drzwiami mego pomocnika, w razie gdyby zechciała pani zrobić coś głupiego.

- Gdzie mnie zabierasz?! Co chcesz zrobić? Jak możesz być dla mnie taki okrutny? - krzyczała Lucille.

Hrabia nawet nie raczył odpowiedzieć. Pchnął comte'a do wyjścia trzymając go cały czas na muszce. Na dole rozkazał dwóm lokajom związać mu ręce i nogi. Potem wyrzwał na zewnątrz i z satysfakcją stwierdził, że jego powóz jest już na miejscu.

Furmani wlepili wzrok w związanego. Wiedząc, że Francuz niewątpliwie będzie próbował ich przekupić, kazał porządnie zakneblować mu usta. Hrabia wyraził się jasno; comte nie ma prawa wydać z siebie głosu.

Zgodnie z jego instrukcjami usadowili pojmanego na tylnym siedzeniu powozu. Obok niego usiadł uzbrojony lokaj, któremu przykazał natychmiast strzelać w razie jakiegokolwiek próby ucieczki.

Schodząca ze schodów Lucille nie przestawała płakać. Zaczęła go błagać o przebaczenie, ale uciszył ją mówiąc bez ogródek:

- Obawiam się moja pani, że będę musiał związać jej ręce, aby nie mogła pomóc swemu współnikowi.

- To nie mój współnik! - darła się Lucille. - Zmusił mnie do współpracy, bo jest silny, a ja jestem tylko słabą kobietą!



Nienawidzę Francuzów, to nasi wrogowie, ale cóż mogłam zrobić!

Hrabia znów nie wysilił się na żadną odpowiedź. Zamiast tego sprawdził, czy jej ręce zostały odpowiednio związane. Potem kazał odprowadzić ją do powozu. Wtedy dopiero polecił uwolnić woźnicę oraz lokaja comte'a i umieścić ich w jego powozie.

Przykazał jednemu ze swoich lokai, aby kierował powozem comte'a, a sam postanowił powozić swoim. Wreszcie oba pojazdy ruszyły. Stary Carter siedział obok niego, podczas gdy inni tłoczyli się w powozie comte'a.

Ulice ziały pustką, ale drogę do londyńskiej Tower oświetlał im blask księżyca. Kiedy dotarli na miejsce, wysłał po zarządcę Tower. Był to starszy mężczyzna, który kiedyś okazał się być wspaniałym generałem. Z wielką uwagą wysłuchał wszystkiego, co hrabia miał do powiedzenia.

- Znam lorda Barhama - odpowiedział. - To mój stary przyjaciel. Na pewno będzie ogromnie wdzięczny jego lordowskiej mości. Szpiedzy Napoleona, jak mniemam, są wszędzie. Im szybciej tego spotka należyta kara, tym lepiej dla nas!

- W zupełności się z panem zgadzam - poparł go hrabia.

Zarządca na chwilę zawahał się.

- A co z lady Gratton? - spytał.

- Trzeba ją trzymać w zamknięciu do końca wojny, jako przykład dla tych kobiet, które chciałyby ją naśladować - odparł hrabia.

- Też prawda! - wykrzyknął zarządca. - W przeciwieństwie do Francuzów Anglik nie mógłby zabić kobiety!

- Chociaż w jej przypadku to byłoby bardziej wspaniałomyślne. Społeczeństwo będzie ją przeklinać do

końca życia - zauważył hrabia. - Mam jeszcze ze sobą lokaja i woźnicę comte'a - dodał mając dość rozmowy o Lucille.

- Czy oni też są zamieszani w tę nikczemną działalność? - zapytał zarządca.

- Mało prawdopodobne - odparł hrabia - ale na pewno znają ludzi, których odwiedzał, i kobiety, z którymi się stale kontaktował. Jeśli będziemy mieli szczęście, podadzą nam adresy innych szpiegów w Londynie, może nawet tych, którzy przekazują informacje samemu Napoleonowi.

- Niewątpliwie ma pan rację - przytaknął zarządca, - Będą przesłuchani jak najszybciej, zanim sprzymierzeńcy comte'a zdadzą sobie sprawę z jego nieobecności.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce, podczas gdy żołnierze zabrali comte'a i Lucille w dwa różne miejsca. Hrabia kazał zaprowadzić jego powóz z powrotem przed dom Lucille, a swoim lokajom przykazał wrócić na Berkeley Square.

Właśnie gasły ostatnie gwiazdy. Pierwsza jasność świtu wkradała się powoli na niebo. Hrabia tymczasem udał się do admiralicji. Wartownicy ze zdziwieniem patrzyli na nadjeżdżający powóz, ale pozwolili mu przejechać. W admiralicji na służbie czuwało dwóch lokajów i dyżurujący oficer. Kilka ostrych zdań hrabiego sprawiło, że ten ostatni w pośpiechu pobiegł budzić pierwszego lorda.

Hrabia nie musiał długo czekać. Lord Barham pojawił się po kilku minutach. Miał na sobie długi szlafrok zarzucony na nocną koszulę. Mimo późnego wieku nadal emanował młodzieńczą rzeźkością, choć był trochę zaskoczony.

- Dobre czy złe wieści, Arrow? - spytał wchodząc do pokoju. - Byle co nie sprowadziłoby cię tutaj o tak wczesnej porze.

Hrabia przez chwilę milczał, chcąc nadać swemu oświadczeniu bardziej dramatyczny ton.

- Panie admirale, właśnie odstawiłem pańskiego pierwszego sekretarza, comte'a Jacques'a de Beauvais, do Tower!

Pragnąc jak najszybciej wrócić do Shendy, hrabia nie gościł długo w admiralicji. Zdał lordowi Barhamowi jedynie krótkie sprawozdanie z całej sprawy. Obiecawszy przyjechać później skierował swoje konie na Berkeley Square.

Kiedy wraz ze swymi lokajami znalazł się w domu, oznajmił im w holu:

- Dziś w nocy zadaliśmy cesarzowi Francji niezły cios. Niestety szpiegów jest jeszcze całe mnóstwo, dlatego zakazuję wam rozpowiadać o dzisiejszych wydarzeniach. Nawet między sobą nie powinniście o tym wspominać.

Wszyscy wydali się rozczarowani tymi słowami, dlatego szybko dodał:

- Prześcignęliście samych siebie, wszystkie polecenia wykonane były zgodnie z rozkazem... Ale jeśli kiedyś przyjdzie nam robić coś podobnego, nasza zwierzyna mogłaby się spłoszyć, zanim nadarzyłaby się szansa na jej schwytanie. Szpiegzy Napoleona są niezwykle przebiegli.

Na twarzach słuchaczy pojawiło się zrozumienie.

- Trzymajcie więc języki za zębami, ale oczy i uszy miejcie zawsze otwarte dla dobra naszej Anglii! - zakończył, a ich twarze upewniły go, że zrobią wszystko, o co ich prosił.

Po chwili popędził na górę. Przed drzwiami nadal siedział z pistoletem w ręku poczciwy Hawkins. Nic nie mówiąc hrabia uśmiechnął się do niego i cichutko je otworzył.

Shenda spała oświetlona pierwszymi promieniami dnia. W tym wielkim łóżu wydała mu się maleńka i nierzeczywista, a spadające na poduszkę złote pukle czyniły ją jeszcze młodszą bardziej niewinną.

Stał zapatrzony przez kilka minut, po czym cichutko wyszedł z pokoju i zamknął drzwi.

Budziła się powoli, jakby z bardzo długiego snu. Nagła myśl o hrabim wprawiła ją w stan niepokoju. Usiadła wyprostowana na łóżku, przypominając sobie, że zostawił ją w swojej sypialni, a sam poszedł zająć się zdrajcą. Jeśli jeszcze nie wrócił, być może Francuz strzelił pierwszy - to znaczy, że nie żyje albo jest ciężko ranny! Już na samą myśl o tym wydała z siebie okrzyk rozpacz.

Chwilę potem otworzyły się drzwi, a w nich ukazała się głowa Hawkinsa.

- Panienska już wstała? - zapytał. - Bo śniadanie czeka.

- Czy pan hrabia wrócił? Czy są od niego jakieś wieści? - spytała z trudnością łapiąc oddech.

Hawkins wszedł do pokoju.

- A wrócił, wrócił szczęśliwy jak dzieciak, któremu udało się odnieść wielkie zwycięstwo... I nie zamierzam go budzić, chociaż się o to dopraszał!

Shenda odetchnęła z ulgą. Jej oczy napełniły się łzami. Szybko spojrziała na zegar, żeby Hawkins ich przypadkiem nie zauważył.

- Która... godzina? - spytała.

- Prawie dziesiąta, panienko... Pan hrabia pojawił się dopiero po siódmej.

- Cóż takiego porabiał tak długo?

- Przypuszczam, że sam zechce paniencie o tym opowiedzieć - odparł Hawkins. - Lepiej już pójdę po śniadanie...

Shenda rzuciła się z powrotem na poduszkę... Więc żył! Więc był bezpieczny! Cokolwiek się stało, comte nie zrobił mu żadnej krzywdy. Dzięki niemu ona też była bezpieczna.

- Kocham go! - szeptała. - Powiedział, że czuje to samo... Z pewnością tylko dlatego, że byłam roztrzęsiona. Chciał mnie pocieszyć.

Z trudnością próbowała stłumić rozpalające ją podniecenie i uspokoić śpiewające ze szczęścia serce.

Po przebudzeniu hrabia przypomniał sobie koleje wczorajszych wydarzeń. Kazał Hawkinsowi obudzić się o ósmej trzydzieści, a na zegarze nad kominkiem było już dawno po dziesiątej.

Ten człowiek nie ma prawa uchylać się od moich poleceń - pomyślał zezłoszczony.

Wiedział jednak, że Hawkins i tak zawsze postawi na swoim, jeśli chodzi o dobro swego pana. Wyskoczył z łóżka i pociągnął za dzwonek. Za chwilę w drzwiach ukazał się Hawkins ze śniadaniem.

- Miałeś mnie obudzić o ósmej trzydzieści - zbeształ go.

- Niech się pan hrabia uspokoi... - tłumaczył się Hawkins.

- Na pewno coś mi się pokiełbało. Nie zmrużyłem oka przez całą noc.

To mówiąc postawił tacę ze śniadaniem na stoliku przy oknie. Dalszą rozmowę przerwało wejście lokaja, który przyniósł dodatkowe potrawy. Narzuciwszy na siebie szlafrok, hrabia znów się odezwał:

- Czy z panią wszystko w porządku?

- Właśnie zaniósłem jej śniadanie, proszę pana - odparł Hawkins. - Bardzo się o pana martwiła, chudziatko... ale jej powiedział, że pan wrócił cały i zdrowy.

Zaraz po tym wyszedł z pokoju i hrabia musiał porzucić dalszą reprimendę.

Po obfitym śniadaniu i porannej kąpieli Hawkins poinformował go, że pokazał Shendzie pokój, gdzie może się ubrać.

Shenda pogodziła się z myślą, że musi pozostać w koszuli nocnej i wełnianej sukience, które miała na sobie podczas strasznej ucieczki z domu lady Gratton. Kiedy jednak weszła

do owego pokoju, ujrzała panią Davison z jej własnym kuferkim, do połowy rozpakowanym.

- Może mi tak panienka powie, co tu się właściwie dzieje? - spytała pani Davison. - Mówiono mi, że panienka przybiegła tutaj wczoraj w nocy... Dlaczego więc mnie panienka nie obudziła?!

- Tak się cieszę, że panią widzę - odparła wykrętnie Shenda. - Teraz tylko to się liczy... Czy mogę dostać mój kuferek?

- Właśnie go przywieziono - powiedziała ochmistrzyni. - To zasługa pana Cartera. Poczciwiec, zdawał sobie sprawę, że bez niego nie będziesz miała co na siebie włożyć.

Pani Davison wprost umierała z ciekawości, nie dało się tego ukryć. Na szczęście Shendzie udało się jakoś uniknąć odpowiedzi. Wiedziała, że najpierw musi skonsultować się w tej sprawie z hrabią. Tak bardzo chciała go zobaczyć, że każde słowo pani Davison wydawało jej się niezrozumiałe.

Założyła jedną ze ślicznych sukienek własnej roboty i czym prędzej popędziła na dół. Obawiała się, że wydarzenia wczorajszej nocy okażą się tylko iluzją. Być może dzisiaj stawi czoło innej rzeczywistości.

Hrabia właściwie myślał podobnie. Kiedy wieczorem przyszła do niego drżąca ze strachu, zapomniał o całym świecie. Wdzięk i delikatność jej ciała wzbudziły w nim niezapomniane wrażenie. Teraz stanął przed surową rzeczywistością dnia. Czy może się z nią ożenić, wiedząc, że jest jedną z jego służek?

Odkąd odziedziczył tytuł hrabiego Arrow, zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką pociągała za sobą taka pozycja społeczna. Cała rodzina uważała go za swego przywódcę i przewodnika, podobnie jak kiedyś marynarze na statku. Nie może zrobić niczego, co by zszargało rodzinną reputację.

Oczywiście Shenda okazała się być damą w każdym tego słowa znaczeniu. Nigdy nie spotkał kogoś bardziej wrażliwego albo kogoś, kto by lepiej odpowiadał szlachetnemu urodzeniu. Dlaczego więc pracowała jako szwaczka?

Jeśli była sierotą, powinna trafić pod opiekę krewnych albo jakiejś starszej szacownej damy. A jednak każdy skrawek jego ciała pożądał jej bez pamięci. Przyznał się w duchu, że ta miłość porwała go wczoraj jak fala przyływu. Nigdy nie czuł czegoś podobnego do żadnej kobiety. Gotów był zabić każdego mężczyznę, który ważyłby się ją obrazić... Chyba nawet byłby zdolny zabić siebie, gdyby nie mógł zaproponować jej małżeństwa.

Boże... co mam z nią zrobić? - pytał się rozpaczliwie kończąc ubieranie.

Schodząc ze schodów czuł na sobie surowy wzrok swoich przodków, którzy gapili się na niego ze złotych ram. Pomyślał, że męska część rodu Bowów pewnie by go zrozumiała, ale kobiety uznają takie małżeństwo za mezalians. Z łatwością mogłyby uczynić życie Shendy piekłem, traktując ją jak służącą, która zmusiła swego pana do małżeństwa.

Przeszedł przez hol podejrzewając, że zastanie Shendę w swoim gabinecie. Przez głowę przelatywało mu ciągle to samo pytanie: Jak znaleźć wyjście z tej strasznej matni?

Shenda stała przy oknie. Poranne słońce zmieniło jej włosy w złotą aureolę. Na taki widok serce hrabiego wywinęło tuzin koziołków. Zrozumiał nagle, że życie bez niej straciłoby sens.

Zamknął za sobą drzwi i po prostu rozłożył ramiona. Z okrzykiem radości podbiegła do niego rozpromieniona.

- Cały i zdrow... Zupełnie bezpieczny... - szeptała.

- Tobie też już nic nie grozi - odparł czułym głosem obsypując ją pocałunkami.

Cały świat nagle stanął dla nich w miejscu, a on całował ją chciwie i łakomie, jakby się obawiał, że jej delikatna postać zaraz rozplynie się w powietrzu.

Każdy dotyk jej ust cudownie przenikał jego serce, które wiedziało, patrząc w te czarowne oczy, że ich właścicielka czuje to samo. Patrzył teraz na twarz nieziemsko, nadludzko piękną.

- Najdroższa... - wyszeptał w zachwycie. - Boże... jak ja cię Kocham!

- Na pewno nic ci nie zrobił? - dopytywała się Shenda.

- Na pewno.

Nie miał zamiaru jej powiedzieć, że zastał comte'a i Lucillę w łóżku. To mogłoby ją zaszokować. Sam zresztą nie chciał wspominać późniejszych odstręczających wydarzeń.

- Modliłam się i modliłam za twoje bezpieczeństwo... - mówiła czule. - A potem zasnęłam. Zupełnie nie wiem, jak to się stało...

- Nie dziwię się moja najdroższa, po tym co przeszłaś.

Znów popatrzył głęboko w jej oczy. Nic nie mógł poradzić, same usta bezwiednie wyszeptały te słowa:

- Czy możesz wyjść za mnie jak najszybciej? Chyba nie mogę bez ciebie żyć.

- Naprawdę tego chcesz?

- O wiele bardziej, niż potrafię to wyrazić w słowach...

Za chwilę znów całował władczo i pożądliwie, jak gdyby już nigdy nie chciał pozwolić jej odejść.

Minęły wieki... Tak przynajmniej wydawało się Shendzie. Pociągnął ją do okna i razem spojrzeli na ogród.

Jutro wracamy do zamku - powiedział, a jego głos zabrzmiał dziwnie nawet w jego własnych uszach. - Weźmiemy ślub w naszej kaplicy. O ile mi wiadomo, dziś przyjeżdża nowy pastor.



- Tak bym chciała, żeby żył mój ojciec - odparła cichutko.  
- Byłby taki szczęśliwy, gdyby mógł dopełnić ceremonii...

- Twój ojciec był pastorem?... - zapytał niedbale.

Jego myśli przez chwilę zaprzątnięte były czym innym. Jak zareaguje rodzina na to niespodziewane małżeństwo? Być może powinni się pobrać w Londynie, gdzie nikt jej nie zna.

- Czy naprawdę chcesz się ze mną ożenić, nie wiedząc nawet, kim jestem? - spytała patrząc na niego.

Przyciągnął ją do siebie.

- Nieważne, kim jesteś i skąd pochodzisz - powiedział. - Jesteś moja, tylko moja, Shendo. Pragnę cię, jak nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety ani niczego na świecie!

- Gdy tak mówisz - westchnęła - chce mi się płakać ze szczęścia. Zawsze marzyłam, żeby tak być kochaną... tak jak tata kochał mamę... Byłam głupia, nie wierzyłam, że to się kiedyś spełni.

- Kiedy po raz pierwszy dotknąłem twoich ust, wydałaś mi się prześliczną nimfą, rusalką z zaklętego stawu, boginią, która na chwilę przybrała ludzką formę.

Przejechał wargami po jej gładkim policzku.

- Odtąd zacząłem myśleć o tobie Shendo... - ciągnął dalej.  
- Śnić o tobie... Tak, nawet całowałem cię we śnie i nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby dociekać, kim jesteś.

Roześmiała się słodkim, perlistym śmiechem.

- Przyjmij więc teraz do wiadomości, kochany, że nazywam się Lynd, a mój ojciec był pastorem w posiadłości Arrow przez siedemnaście lat!

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Jeśli to prawda, to dlaczego pracowałaś w zamku?

- Ukrywałam się...

- Ukrywałaś?... Przed kim?

- Przed losem, który pozbawił mnie domu. Nie miałam gdzie się podziać, kiedy twój zarządca, pan Marlow, zażądał plebanii dla nowego pastora.

- Jak to się stało, że nie miałaś do kogo się udać? - zapytał hrabia, który prawdę mówiąc czegoś takiego nie rozumiał.

- Nie miałam pieniędzy - wyjaśniła prosto. - Udałam się więc do pani Davison, a ona, dzięki moim usilnym prośbom, pozwoliła mi zostać. .. Nowy pan hrabia miał oczywiście nigdy się nie dowiedzieć, że nie jestem prawdziwą służącą.

- Dzięki Bogu, kochanie, że właśnie do zamku skierował twoje kroki i że cię znalazłem w tym czarodziejskim lesie.

- Skąd mogłam wiedzieć... jak odgadnąć, że spotkałam samego hrabiego. Ale kiedy mnie pocałowałeś, wiedziałam jedno: nigdy tego nie zapomnę!

Znów pokój napełnił się jej radosnym śmiechem.

- I któż by mi uwierzył, że wszystko to wydarzyło się, bo pocałował mnie nieznajomy.

- Nieznajomy, który zakochał się bez pamięci - dodał z uśmiechem. - Jaką podniecającą historię usłyszą kiedyś nasze dzieci.

Shenda zarumieniła się i ukryła twarz w jego ramionach. Jej nieśmiałość wydała mu się tak godną uwielbienia, że całował ją, aż oboje stracili oddech.

- Już jesteśmy jedną osobą, kochanie - powiedział podnosząc głowę. - Mam przeczucie, że żadna ceremonia nie dokona większych cudów. Należymy do siebie bardziej, niż jest to możliwe.

- Twoje słowa są cudowne - odparła. - Czuję dokładnie to samo... Jestem twoja od tego pierwszego pocałunku...

- Nikt nie potrafiłby być dzielniejszym albo dokonać więcej od ciebie - powiedział z uznaniem, a gdy poczuł, że zadrżała, dodał: - Zapomnij o tym. Jeśli w przyszłości będę

musiał zrobić cokolwiek, aby pomóc Anglii, ty nie będziesz w to wmieszana!

Roześmiała się. Emanowało z niej szczęście.

- Kiedy będę twoją żoną trudno ci będzie cokolwiek przede mną ukryć. Chcę ci służyć pomocą i zawsze stać przy tobie.

Przytulił ją do siebie.

- Kocham cię! - szepnął. - Muszę jednak pędzić do lorda Barhama. Jeśli mnie zbyt długo nie przetrzyma, jeszcze dziś ruszamy do zamku.

- Czy ślub naprawdę będzie jutro? - spytała.

- Chciałbym - odparł - ale chyba muszę najpierw dostać jakieś zaświadczenia.

- To chyba zbędne... Jesteśmy przecież rezydentami tej samej parafii - przez moment zawahała się. - Musisz zapytać pastora, żeby się upewnić...

- Mam nadzieję, że ktoś w admiralicji będzie w stanie udzielić mi odpowiedzi - odrzekł. - Byłoby głupio, gdyby okazało się, że nie znam nazwiska własnego pastora!

- Dopóki pamiętasz moje i swoje, wszystko będzie w porządku - powiedziała ze śmiechem.

- Lynd, prawda? - zapytał.

- Shenda Lynd... Tato kiedyś polował w towarzystwie twego ojca, świętej pamięci hrabiego i gromady chartów... Nazywano go nawet „polującym kaznodzieją”.

- Wydaje mi się, że jako dziecko słyszałem coś o nim - odparł i spojrzał w jej oczy. - Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego nie miałaś dokąd pójść? Na pewno masz gdzieś jakiś krewnych...

- Mój wuj mieszka w Gloucestershire... Tam też wychował się mój ojciec - wyjaśniła. -

I chociaż jest lordem Lynd, nie powodzi mu się najlepiej. Do tego ma dużą rodzinę... Pomyślałam, że na pewno nie

zechciałby dodatkowego domownika, a z Rufusem byłoby nas dwoje.

Uśmiechnęła się, po czym zdała sobie sprawę, że jej ukochany jakoś dziwnie na nią patrzy.

- Czy twój wuj, a przed nim twój dziadek był lordem Lynd?

- Tak! Dlatego ojciec, miał jak to się mówi „szlacheckie pochodzenie”, ale wiele nam to nie pomogło. Po śmierci mamy wstrzymano skromne, finansowe wsparcie, które otrzymywała od swojej matki - jej głos stał się coraz cichszy. - Ojciec mamy był Szkotem, lairdem (laird - szkocki właściciel ziemski.) z Kintare... Nigdy nie pogodził się z myślą, że jego córka poślubiła Anglika!

- Ach, te szkockie uprzedzenia - odparł z uśmiechem.

Oparła głowę o jego ramię.

- Musiałam sprzedać wszystkie meble, żeby spłacić długi zaciągnięte u handlarzy... Przyszłam do zamku zaledwie z kilkoma funtami w kieszeni. To wszystko, co mam!

Trudno było nie wyczuć w jej głosie nuty niepokoju. Obawiała się, że hrabia będzie zaszokowany stanem jej majątku.

- Nigdy więcej nie doznasz biedy, kochana... Tyle chcę ci ofiarować, tyle z tobą dzielić - wyszeptał dotykając wargami jej czoła.

Słowa te popłynęły prosto z serca. Dołączył do nich modlitwę wdzięczności. Nie dbał o pochodzenie Shendy, ale jego rodzina na pewno będzie usatysfakcjonowana wiedząc, że jest siostrzenicą lorda Lynd i wnuczką szkockiego dziedzica. Teraz nie będą nią pogardzać, a o jej pracy szwaczki nigdy się nie dowiedzą. Zrozumiał nagle, dlaczego pani Davison była zaniepokojona, kiedy jej powiedział, że chce, by Shenda usługiwała lady Gratton.

Jakież ze mnie głupiec! - wyrzucał sobie. - Dlaczego nie próbowałem się dowiedzieć o niej czegokolwiek... Teraz to i tak nie ma znaczenia.

Shenda była wszystkim, czego pragnął - kobietą, która należała w pełni do niego, jego drugą połową, eteryczną, uduchowioną istotą, dzięki której uwierzył, że wystarczy podnieść głowę, żeby dotknąć gwiazd.

Była piękna jak jego zamek. Ich dzieci, a Bóg da będzie ich wiele, będą kontynuować stare tradycje rodzinne. Poświęcą całe swoje życie służbie Anglii. Wzruszony wzniosłością swych myśli przytulił ją jeszcze mocniej. Jego usta znów spoczęły na jej ustach. W gorącym pocałunku oddał się i jej, i krajowi. Czuł, że oboje mogą przyczynić się do szczęścia wielu ludzi.

- Kocham cię! - powiedział.

Jego głos zdawał się rozbrzmiewać wśród panującej ciszy.

- A ponieważ ja też cię kocham - odparła - jestem taka szczęśliwa... tak niewiarygodnie szczęśliwa! Mama i tata z pewnością nade mną czuwali i pomogli mi ciebie znaleźć.

- To raczej ja ciebie znalazłem! - droczył się hrabia. - Jest to niewątpliwie najrozsądniejsza i najcudowniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

Przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać od niej oczu.

- Skąd w tobie taka doskonałość? - zapytał. - Jesteś dokładnie taka, o jakiej marzyłem... choć nigdy nie sądziłem, że to marzenie się ziści...

- Obyś zawsze myślał o mnie w ten sposób! - odparła. - Będę prosić Boga, żeby być zawsze taką, jakiej pragniesz... i żebyś mnie kochał do końca życia.

- Możesz być tego pewna. Teraz, ukochana, muszę cię opuścić, bo lord Barham udzieli mi niezłej reprymendy!

- Nie wolno do tego dopuścić! - zaśmiała się Shenda.

- Już sama myśl o rozstaniu napęła mnie rozterką -  
odparł. - Uważaj na siebie.

- Chciałabym jeszcze o coś prosić...

- Co takiego kochanie?

- Jeśli wkrótce mamy się pobrać, czy nie mogłabym kupić przynajmniej jednej sukni? Chciałabym dla ciebie wyglądać jak najładniej...

Roześmiał się.

- Jak mogłem zapomnieć, że przyszła panna młoda, nawet taka, którą otacza czar lasu i światło gwiazd, potrzebuje sukni ślubnej!

Ku jej wielkiemu zdziwieniu szybko pociągnął za dzwonek. W kilka sekund później w drzwiach pojawił się Carter.

- Pan mnie wzywał? - zapytał.

- Przygotuj powóz - rozkazał hrabia - i natychmiast wezwij tu panią Davison. Przygotuj kilku posłańców. Muszą zanieść wiadomość na Bond Street.

Carter był na tyle obeznany w swoim fachu, żeby nie okazywać zdziwienia.

- Dobrze, proszę pana - odparł z szacunkiem i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Shenda podbiegła do hrabiego.

- Co się dzieje, co masz zamiar zrobić? - dopytywała się.

- Za chwilę zjawią się tu najlepsi krawcy z Bond Street -  
odparł. - Razem z panią Davison zdecydujecie, co potrzeba. Wybierz sobie coś na jutro i na następne dwa dni... Zrób też kilka innych zamówień.

Shenda wstrzymała na chwilę oddech.

- Cóż kochanie - dodał. - Jestem bardzo bogatym człowiekiem, dlatego moja wybranka będzie najpiękniejszą hrabiną jaka kiedykolwiek mieszkała w zamku Arrow... W urodzie rywalizować z nią może jedynie sama królowa Saba!

- To nie może być... - szeptała Shenda. - Chyba śnię...

- Pewnie, że tak. Zamierzam zrobić wszystko, abyśmy się z tego snu nigdy nie obudzili.

Nie mógł się powstrzymać i obsypał ją namiętymi i pożądliwymi pocałunkami. Na samą myśl, że potrafi go tak podniecać, ogarnęło ją cudowne uczucie.

W tych pocałunkach było coś z magii lasu, z jej usilnych modlitw o szczęście... Czuła przy sobie bliskość swoich rodziców.

A wszystko to było zaledwie częścią miłości, która przepęłniała ich serca, miłości isticie niebiańskiej, bo sam Bóg czuwał nad Shendą i połączył tych dwoje.

Miłość ta pozostanie z nimi nie tylko na tym, ale i na tamtym świecie, i przez całą wieczność!